

MAŁŻEŃSTWO
ZYGMUNTA KIETLICZA

TEJŻE AUTORKI OSOBNO WYDANO:

1. *Brzydka*, powieść nagrodzona na konkursie Biblioteki Dzieł Wyborowych. Warszawa 1906. Wyd. II. Poznań 1925.
2. *Cicha moc*, powieść. Warszawa, 1907.
3. *Blaski*, powieść. Warszawa 1909. Wyd. II. Warszawa 1925.
4. *Historje prawdziwe*, nowele. Warszawa, 1910.
5. *Wieczory Nałęczowskie*, feljetony. Warszawa 1910.
6. *O nieznanym bohaterach*. Kartki z niedalekiej przeszłości. Kraków 1911.
7. *Jedna czternasta*, nowela nagrodzona na konkursie Kurjera Litewskiego. Wilno, 1913.
8. *Siostra Hanna*, nowele. Przemyśl 1921.
9. *Żona ułana*, nowela. Poznań 1921.
10. *Paniątka ze dworu*, nowela. Poznań, 1921.
11. *Fotografje mówią...* nowele. Warszawa, 1922.
12. *Orlęta*, nowela nagrodzona na konkursie Słowa Pomorskiego. Poznań, 1925,
13. *Dzwony*, nowela, Poznań, 1925.
14. *Śmierć Jana Chodowe*, nowela. Poznań 1925.

Tłomaczenia:

1. *Ku prawdzie*, Pierre Rigaux, Warszawa 1912.
2. *Dla don Carlosa*, Pierre Benoit, Warszawa, 1923.
3. *Biały paw*, Henry Bordeaux, Warszawa 1925.

MICHALINA DOMAŃSKA

MAŁŻEŃSTWO
ZYGmunTA
KIETLICZA

POWIEŚĆ



Z A M O Ś Ć

ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA
ODDZIAŁY: W WARSZAWIE, KRASNOSTAWIE I WŁODZIMIERZU

Prawo przedruku i przekładu zastrzeżone.
Copyright by Z. Pomarański i Ska w Zamościu 1925



R/1

84895

821.162.1-3

Księgozbiór BP



10080049

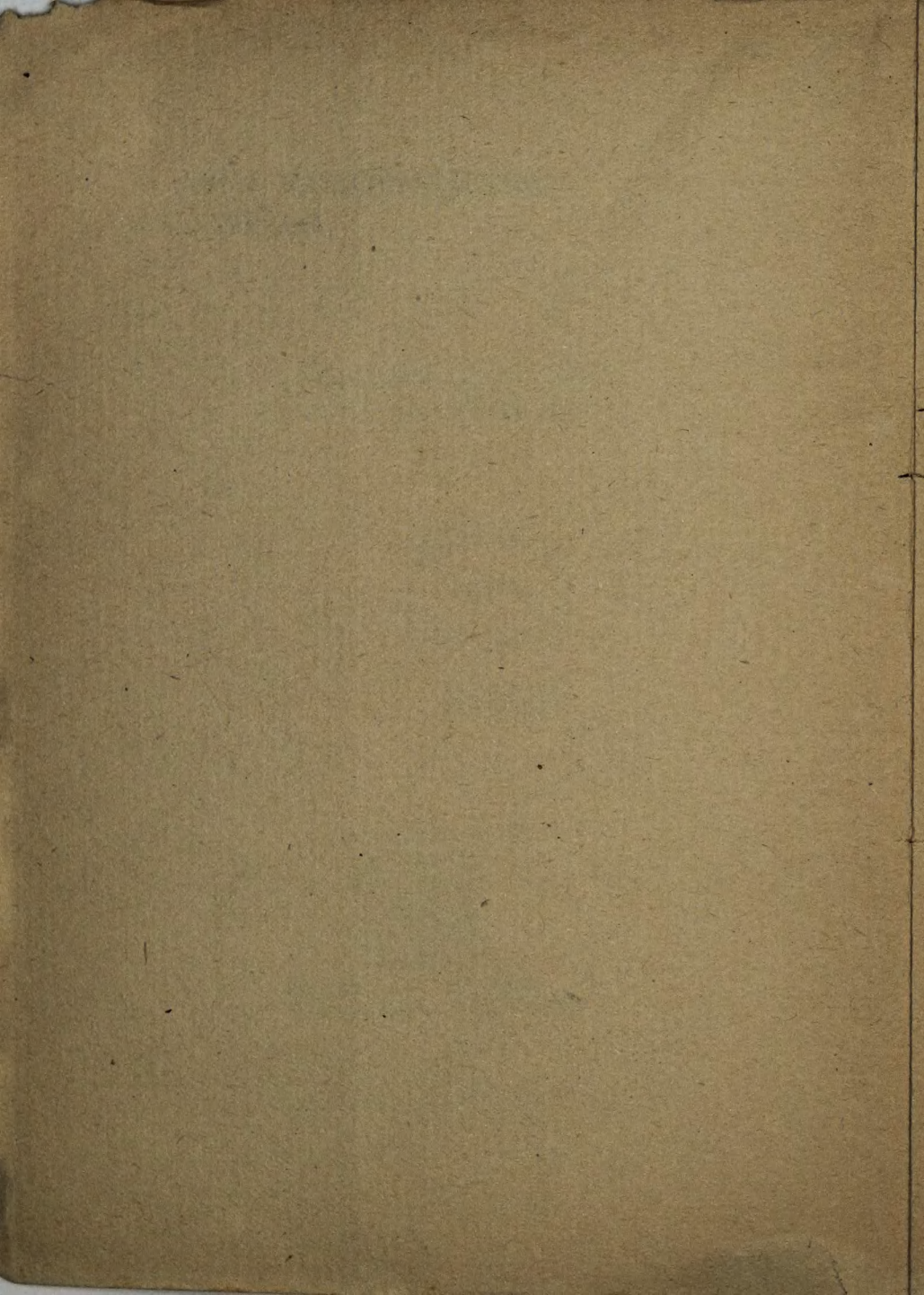
Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

IX. 1925.
Wykonano w Drukarni Narodowej w Krakowie

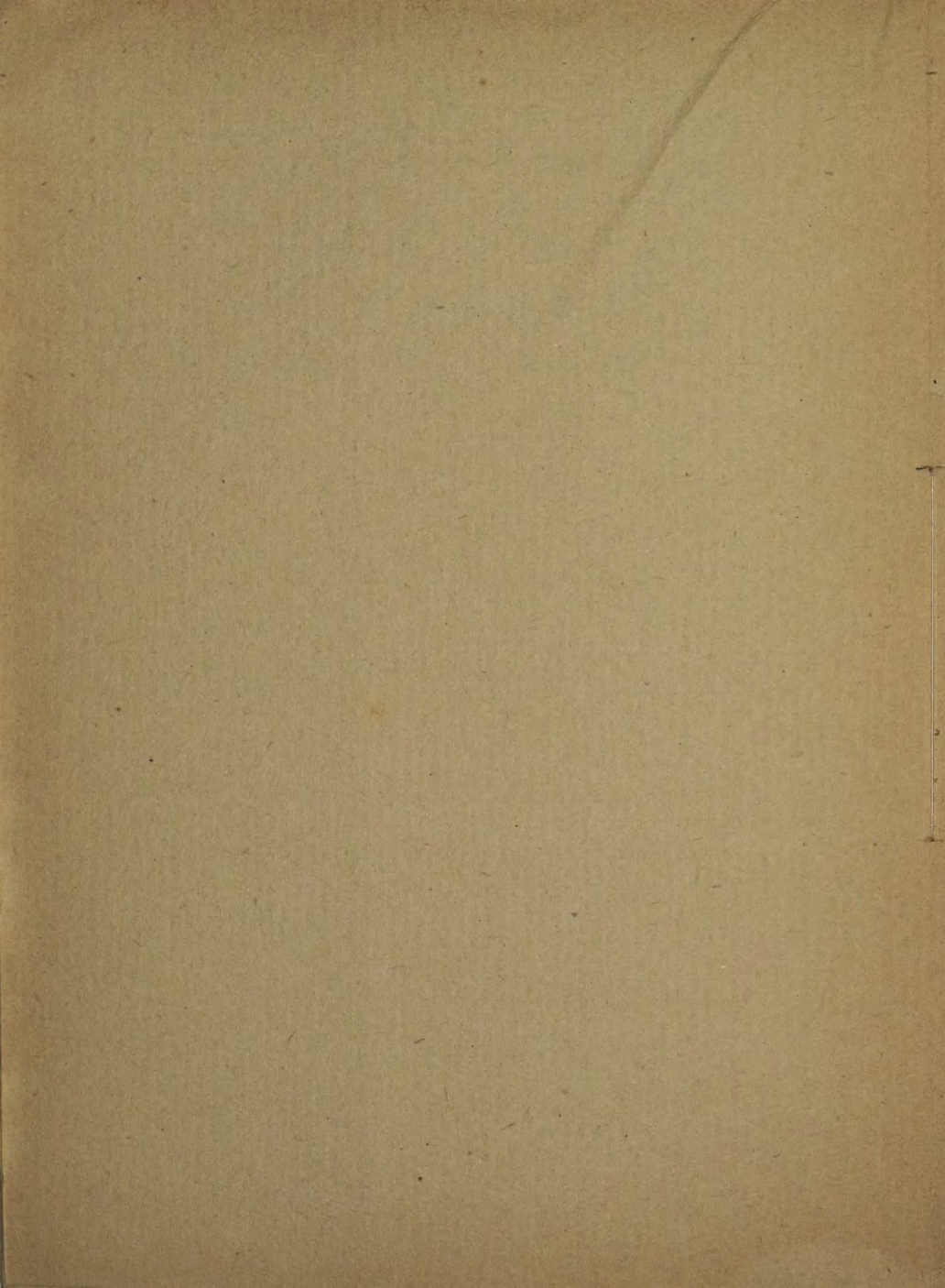
1024P

papier

*PRZYJACIOŁOM MOIM
POŚWIĘCAM*



C Z Ę Ś Ć I.



I.

Zygmunt Kietlicz odnalazł swój leżak, przesunął go na odległy i zaciszny kącik werandy, nogi wsunął w futrzany worek i z uczuciem rozkoszy wyciągnął się na sprężystem płótnie. Powietrze upajało jak wino i posiadało jego moc i smak ostry. Śnieg iskrzył się brylantowo w południowem słońcu. Tam, gdzie padały ciemnofioletkowe cienie smreków, czaił się dojmujący chłód, który czekał tylko na zniknięcie słońca, aby wziąć świat cały we władanie. Nad lśniącą blaskiem płynnego srebra, sfalowaną linią szczytów, rozpościerał się błękit, rozmigotany świetliście. Wdychało się surową tężyznę i nieprzebrane bogactwo iskier słonecznych, rozsianych w powietrzu, na śniegu, po niebiosach. Aż w głębi płuc odczuwało się tchnienie czyste i zimne, oddech ośnieżonych i stężających w blasku gór. Ile nieznaney błogości w zanurzeniu się w tej ciszy, w uśpieniu trosk i myśli — oprócz tej jednej: wypocząć! Całe znużenie, jakie pozostawiły po sobie trudy lat kilku, spędzonych na froncie, rozplywało się w niezmiernem odprężeniu duchowem. Jak dobrze żyć wegetacyjnem istnieniem, przyjmując jedynie do świadomości wrażenia zewnętrzne!

Z drugiego końca werandy dolatywało cienkie i monotonne brzęczenie niby nikłego dzwoneczka. Leżały tam dwie panie z Warszawy, obie urzędniczki z ministerjum. Była to właściwie nie rozmowa, ale monolog. Malutka, drobna i pełna niespożytej energii duchowej, panna Szołowska opowiadała towarzyszkę o różnych kombinacjach finansowych, za pomocą których zamierza utrzymać w równowadze swój nikły budżet. Na to, aby wyjechać do Zakopanego na dwutygodniowy odpoczynek, musiała wziąć zaliczkę na pensję. Na raty — po powrocie — kupi sobie maszynę do pisania. Będzie brała przepisywanie do domu wieczorami. Obiady będzie gotowała w domu na maszynce. Pałto da tylko przenicować. Zna doskonałą krawcową, względnie tanią... Cały światek drobniańskich trosk pracowitego i nikłego życia, tak nikłego i ruchliwego, jak sama panna Szołowska.

Towarzyszka jej słuchała w milczeniu. Wielkie jej oczy o wyrazie sennym, utkwione w miły oczom zarys Giewontu, zdawały się być zajęte kontemplacją wewnętrznych, przedziwnych wizyj. Otaczała ją atmosfera nieprzystępna. Miała dar wyodrębniania się z każdego środowiska i otoczenia, jak ludzie, wyłączną pracą umysłową lub pochłaniającą namiętnością zajęci. Więcej niż ładna, niemal piękna, pani Granicka wydawała się doskonale obojętna na wszystko i wszystkich. W pensjonacie, gdzie kotłowało się od plotek, wiadano jedno: że ma męża nicponia, którego utrzymuje własną pracą i którego kocha bezmierną, chorobliwą miłością.

Wszystko to razem nie obchodziło Zygmunta Kietlicza. Odwrócił głowę od swych towarzyszek werandowania i zapatrzył się na smreki, stojące jak czarnobiałe kolumny, nieruchomo dźwigając na prostopadłych gałęziach połyskliwe zwały śniegu.

Gdzie on już widział takie drzewa, jakby stężale od mrozu w puchowych pokrowcach? Przypomniał sobie: było to na rosyjskich, bezmiernych równiach, gdy przedzierał się z III-cią dywizją z Jelni do Bobrujska, do I-go korpusu generała Dowbora. To proste skojarzenie pojęć odnowiło w pamięci straszliwe poczucie skostnienia i znużenia, niezaznanego ani przedtem, ani potem.

Mrozy były wręcz zabijające tej zimy, w owej krainie wrogiej i dzikiej; śmierć zdradziecka, z zasadki, czyhała na każdym załomie męczeńskiej drogi. Kietlicz jechał na czele konnego podjazdu. Poczucie odpowiedzialności ciężkim brzemieniem ciążyło młodemu barkom. Walcząc z przygnębiającą sennością, co chwila przypominał sobie, że idzie za nim ufnie cała bratnia gromada, prowadzona przez ukochanego wodza. Kroczył pieszo z laską w rękę w krótkim kożuszku — generał bohater, wskrzeszający czasy dawnych legend i klechd wojennych. Cały ten pochód szalony, fantastyczny, wydawał się chwilami igraszką wyobraźni. Głucha, wroga, obmierzała wkoło pustka równin śnieżnych; złowieszcze krakanie wron. Daleko na krańcach horyzontu, zarysy jakichś dachów, kopuły... To wioska pełna dzikiej nienawiści; cze-

kają tam strzały z za płotu i przez szpiegów przygotowana... zasadzka.

Jakże daleko ta Polska, ku której dążą nieprawdopodobnym wysiłkiem! Kto dojdzie? Ilu dojdzie?... Lecz co przez powietrze stężale, nieruchome, płynie odgłos zuchwałej chóralnej piosenki, z mazurska swawolnej... I w serce wstępuje wnet rzeźka ochota, nieprzemierzona, zwycięska. Oddziałek Kietlicza otrząsa z siebie znużenie i wybucha samorzutnie na dziarską nutę, która dzwoni dźwiękiem spiżu:

Pod twoim przewodem
Złączym się z narodem!...

— Panie rotmistrzu! panie Zygmuncie!...

Kietlicz leniwo podniósł głowę. Z balkonu pierwszego piętra wychylała się ku niemu kobieca głowa, okutana w zwoje białego szalu. Spoglądały z góry oczy czarne, podkreślone mocnymi cieniami, których sztuczność silnie ujawniało jasne światło słonecznego dnia.

— Dzień dobry pani! — odpowiedział bez pośpiechu.

— Jakże się tam weranduje? Czy miło jest?

— Niech pani zejdzie, a przekona się pani — odpowiedział z żołnierską szorstkością, której pozbyć się nie umiał.

— Czy to ma być zaproszenie?...

— Weranda należy do wszystkich.

— Tyle tam słońca! Boję się opalić. To zimowe słońce, odbite od śniegu, opala na ceglasto, szkaradnie... I czego pan się śmieje?

— Myślę sobie, że świat cały wstrząsnął się w posadach, a u pań... niektórych, nic się nie zmieniło...

— Niech pan mówi impertynencje, w ustach pana specjalnie mogą być tolerowane, bo panu z tem do twarzy. To jest w pana typie. Ja pozostałam kobietą z epoki kopalnianej, to znaczy przedwojennej. Na „nową“ nie pozuję.

— Że pani nie pozuje, to się pani chwali, a że pani pozostała „przedwojenną“, to nie z własnego wyboru, ale tylko dlatego, że pani naprawdę wojny nie zaznała. Lekkie zmiany w codziennem *menu*... oto wszystko. To nawet dobrze robi na przemianę materji.

— W takim razie, byłabym istotą godną zazdrości.

— Tego nie powiem. Ja swych przeżyć nie oddam za żadną cenę.

— I coby pan był wart bez nich?

— Święte pani słowa, choć intencja złośliwa.

— *Pax! pax!* rotmistrzowi ułanów, kawalerze orderów „*Virtuti Militari*“, „*Krzyża Walecznych*“ i innych. Ktoby śmiał z panem wojować! Daremny trud. Za chwilę zejde i powiem panu rzecz, która pana napewno zainteresuje.

— Oto już koniec spokojnej kontemplacji! — myślał Zygmunt Kietlicz z niecierpliwością. — I czego ona wiecznie chce odemnie, ta „przedwojenna“? Nie cierpię kobiet napastniczych. Gdy chcę, to potrafię sam zdobyć. A narazie niczego nie żądam, oprócz spokoju i wypochnięcia.



Przymknął oczy, niezadowolony z siebie. Wrodzona jego rycerskość cierpiała nad szorstkością okazaną kobiecie.

— Nietylko żem sobie nerwy poszarpał, ale schamiałem! — myślał z głuchą irytacją.

Przez zamknięte powieki poczuł, że cień jakiś stanął pomiędzy nim a słońcem. Niechętnie otworzył oczy... i twarz jego rozjaśniła się przemiłym, serdecznym uśmiechem.

— Czołem, kolego! Przysuń sobie krzeselko i siadaj. Wedle przepisów, mam jeszcze leżeć jak mumja pół godziny. Ale straszniem ci rad. Co nowego?

Kietlicz z pomiędzy dawnych kolegów w pułku lubił i wyróżniał zawsze porucznika Jeśmana. Z pewnem wzruszeniem spoglądał na to wątłe pachole, z zapalonego skauta przedzierzgnięte odrazu, mocą wypadków olbrzymich, w bohaterskiego żołnierza. Szczególnym szacunkiem przejmowały go jego oczy czyste, dziecięce i płonące wewnętrzną gorączką twórczą. Wziął sobie za zadanie ochraniać wrażliwość młodego poety od szorstkich zetknięć i rubaszości otoczenia w życiu obozowem. Czuwał nad nim tak, jakby czuwał nad młodą dziewczyną, powierzoną swej opiece. A teraz ze szczerym smutkiem spotkał się z nim w Zakopanem i dowiedział z ust lekarza... że jest nieodwołalnie skazany. Młodziutki organizm strawił nadmierne trudy i wrażliwość, płonąca jak znicz w zbyt wątłym ciele. Wszyscy wiedzieli o wyroku śmierci, wydanym na porucznika Jeś-

mana, wszyscy, z wyjątkiem jego samego. On w dalszym ciągu cieszył się dziecięcym życiem, które łaskawie mu przyniosło spełnienie marzeń, piastowanych niemal od kolebki: dało walczyć za niepodległość ojczyzny, dało oglądać jej wolność. W tym blasku stopniało wszystko inne. Uśmiechnęła się do niego sława po wydaniu tomiku poezyj, gorących i prześlicznych, które były jednym hymnem uniesienia. I chodził po świecie, pełen cichego rozradowania, nie pojmując znaczenia rozczulonych ludzkich spojrzeń, które szły za nim. Dla Kietlicza żywił uczucie, pełne dziecięcego podziwu.

Przysunął sobie krzesło do jego leżaka i zaraz mówić począł z błyskami zachwytu, które ślicznie rozpromieniały jego marzące oczy:

— Co za dzień dzisiaj, prawda? Świat wygląda jak bajka o słońcu i kryształach. Tyle blasku! takie mocne cienie! Przypominają mi się niektóre dni na Murmanie. Tam bywały także takie ciemno-błękitne plamy na iskrzącym się śniegu i taka cisza...

— I mnie napadły dziś wspomnienia. To widzisz, Romie, zwykła choroba beczynności. Gdy żyję normalnie i pracuję, nie wspominam i nie marzę. Żyję cały w chwili obecnej. I tak być powinno. Teraz, po latach blisko ośmiu, pierwszy raz wypoczywam, zajmuję się swem zdrowiem, otaczającymi mię drobnostkami... i nierad jestem z siebie.

— Nudzisz się?

— Nie. Ale już mi tęskno do życia codziennego.

— Bo ty jesteś typową naturą czynną. A mnie dręczy jedno: przeżyliśmy okres górny, niezwykle, zakrojony na modłę epicką. Dziś skończył się. Nastaje okres codziennych drobnostkowych trudów... i ten bodaj będzie dużo cięższy; żyć bez porywu, bez gorączki, odmierzając czas i siły na prace powszednie, nudne, mało wydajne, to nie tylko mniej piękne, ale o wiele trudniejsze.

— Masz rację zupełną.

— Tacy silni duchowo jak ty podolają i temu, ale ja? Boję się, czy będę do czego zdatny w tem nowem życiu.

Kietlicz litosnem spojrzeniem ogarnął wychudłą twarz o ostrych konturach, z płonącemi oczami i nazbyt purpurową plamą ust.

— Twojem zadaniem jest wypowiedzieć wszystko, co powstaje w twej głowie. Innym pozostaw codzienny trud. Twój los piękny, nie pragnij innego. A teraz powiedz, co słyhać w waszym pensjonacie?

— Przychodzę właśnie do ciebie z propozycją. Jutro całe towarzystwo od nas wybiera się na tor dla bobsley'ów. Jedna z panien posiada własny bobsley jakiejś nadzwyczajnej konstrukcji i ma sama nim kierować. Czy chcesz pojechać razem?

— Ja mam jechać bobsleyem, kierowanym przez jakąś pannę, być na łasce jej dyletanckich prób?

Jeśman uśmiechnął się łagodnym swym uśmiechem, który rozbijał.

— A dlaczegoż by nie? W czasie wojny kobiety zajmowały się trudniejszymi sprawami i wywiązywały się z tego dobrze. Panna Tańska była dłuższy czas w Szwajcarii jako studentka i tam wyuczyła się znakomicie tego sportu. Brała udział w międzynarodowych konkursach, ma żetony i nagrody za jazdę.

— Czy w ten sposób zużytkowała czas wojenny? — spytał Zygmunt sarkastycznie.

— Nie. Czas wojny spędziła w kraju. Była siostrą w czołówkach przy formacjach wschodnich. Przebyła na pad bolszewicki na szpital. Jest prawie że naszą koleżanką.

— Kochasz się w niej?

— Skądże? Wiesz przecie, że jestem zaręczony od dwóch lat i gdy tylko skończę szczęśliwie tutejszą kurację, to się ożenię. Dla mnie jest tylko jedna kobieta wybrana na świecie, to Anka. Ale przyznaję, że panna Tańska jest bardzo sympatycznym typem kobiety nowej.

— Czemże dziś się zajmuje? Stenografją, czy daktylografją?

— Jest w zarządzie kobiecego związku: „Odrodzenie“. Dlaczego mówisz z taką uprzedzoną ironją?

— Nie umiem się jakoś połapać wśród terażniejszych kobiet. Są dwa zasadnicze typy: jeden przedwojenny, który dziś jest już przeżytkiem i drugi nowy, będący w stadjum tworzenia się i przystosowywania do nowych warunków. Napełnia mię on nieufnością, może dlatego, że go jeszcze nie znam dobrze i nie rozumiem.

To jeszcze nie powód! Dziś w koło nas wszystko się tworzy i poczyna. Tak być musi.

— Zapewne, ale kobieta tak wiele waży w naszym życiu osobistem, tyle znaczy dla naszego szczęścia. W czasie wojny nie miałem czasu na studjowanie kobiecej psychologii. I dziś nie znam ich... i boję się.

— A masz przecież tak idealną przyjaciółkę, jak panna Dora!

Zygmunt Kietlicz milczał chwilę: szukał w myśli odpowiedniego określenia.

— To prawda. Ale Dora jest już niemal... przeszłością. Ja się boję kobiety, która przyjdzie, która przyjść musi, która zajmie w mem życiu miejsce przodujące. Zmęczony już jestem bardzo takim życiem, jakie prowadzę od tylu lat. Pragnę rzeczywistości pewnej i słodkiej, a taka jest tylko w ręku kobiety.

— Cieszę się, że ja swoją już znalazłem — powiedział łagodnie Jeśman. — Rozumiem cię: po tylu wstrząśnieniach tęsknota do spokojnego szczęścia jest żywiołowa.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi zbrzydła wszelka tymczasowość i improwizacja w życiu! — zawołał Zygmunt Kietlicz, wyciągając swe silne ramiona w przestrzeń ruchem, w którym było wołanie. — Ustalić się moralnie, duchowo, materjalnie! Mieć własny kąt, nierekwirowany nikomu; własną kobietę, nieodkradzoną jakiemuś oszukiwanemu mężowi, własne szczęście i życie osobiste! Chyba zasłużył sobie na tyle wierny

żołnierz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej! I zważ, że daleki jestem od wzywania erotycznych przygód. Wręcz przeciwnie, zbrzydły mi swą dorywczością...

Urwał nagle, bo na werandę weszły dwie kobiety, kierując się ku nim. Jedna z nich, doktorowa Mniszewska, która go interpelowała z góry, ubrana była z wyszukaną, nawet przesadną, zważywszy na otoczenie, elegancją. Tiulowa woalka osłaniała, wypielegnowaną w tajemnicy różnych „kalotechnik“, cerę. W każdym jej ruchu, nawet w spojrzeniu sztucznie powłoczystem, czuć było nieustanną troskę o to, jak się wyda i co o niej myślał. Druga miała zastanawiający wygląd. Bardzo szczupła i wysoka, z surową i twardą linią ust, uderzała jak sztyletem spojrzeniem przedziwnie wnikliwym. Blade źrenice, nieokreślonego koloru, wśród ciemnych, zmęczonych powiek, wdzierały się despotycznie w cudze wejście, sięgały do dna duszy, wywlekać się zdawały najskrytsze tajne myśli. Jakaś skrzepla powaga oblekała twarz, nadając jej niesamowity wyraz martwej maski; życie całe, potężnie rozbudzone, skupiało się w tych oczach.

Zygmunt Kietlicz podniósł się na siedzeniu i odrzucił worek futrzany z nóg.

— I poco te ceremonje? — powiedziała doktorowa, powstrzymując go ruchem urękawiczonej wykwintnie ręki. — Niewolno przerywać werandowania. Chciałam panu wedle obietnicy zwiastować rzecz zajmującą. Poruczniku Jeśmanie, to będzie coś w pana guście.

Usiadła na przysuniętym sobie krześle. Towarzyszka jej stanęła przy balustradzie i zapatrzyła się na szczyty.

— Vera Illicz zgodziła się dziś wieczór odbyć z nami seans — mówiła doktorowa Mniszewska przyciszonym głosem.

Spojrzała triumfująco na obu oficerów i dodała miękko.

— Porucznik Jeśman przyjdzie oczywiście.

— Nie wiem, czy jego doktór dałby mu rozgrzeszenie? — zaoponował Kietlicz, śmiało i twarde wejście topiąc w sztucznie urodziwej twarzy doktorowej.

— Pan opiekuje się kolegą niby dzieckiem — zauważyła z uśmieszkiem pełnym przekąsu.

— Co tam doktór! — zawołał ożywiony Jeśman. — Wobec rzeczy tak zajmującej... Pani Vera Illicz to sława! I ona się zgadza... Cóż za szczęście! I jakież ma dziwne oczy! Jakieś zaświatowe, a przenikające do głębi.

— Pan oczywiście jest niedowiarkiem z zasady? — spytała pani Mniszewska Kietlicza, w zwykły zaczepny sposób.

— Przeciwnie — odpowiedział poważnie — tyle widziałem rzeczy nadzwyczajnych w czasie lat ostatnich, że nauczyłem się wszystkiemu wierzyć.

Vera Illicz oderwała wzrok od szczytów, oparła się plecami o balustradę i kolejno na każdym z nich trojga zatrzymała spojrzenie, ciężkie i mocne jak dotknięcie.

Najwrażliwszy Jeśman drgnął i spuścił oczy.

II.

Pani Mniszewska w pokoju swoim, który był największym w pensjonacie, zebrała wieczorem małe kółko wtajemniczonych na seans z panią Verą Illicz. Przyszli: piękna i tajemnicza pani Granicka, Kietlicz, Jeśman, profesor Jagielski, interesujący się wszelkim okultyzmem, doktor Gaik, dwóch akademików i intrygujące *trio*, złożone z ciężko chorego przemysłowca i bogacza, Knolla, żony jego i siostry żony, dojrzałej, lecz powabnej panny Łapickiej. Między dwoma siostrami wyczuwało się dławioną i śmiertelną nienawiść, jakieś głęboko tajone, nieustanne zmaganie się o wpływ, o pierwszeństwo we względach Knolla. On sam, wiecznie podrażniony, niecierpliwy, rozpieszczony chorobą i zbytkiem, grał naprzemian rolę łaskawego padyszacha lub rozgniewanego, brutalnego gbura. Dokoła willi Knollów, świeżo zbudowanej z całym wyuczonym zamilowaniem do przepychu, latały roje zakopiańskich plotek, rozlakomionych zapaszkami skandalu. Opowiadano sobie pocichu o gwałtownych scenach zazdrości i mściwej nierawiści, rozgrywających się między tem trojgiem, o pogroźkach, o usiłowaniu otrucia, o atmosferze zabójczej podejrzliwości.

cią i rozjątrzeniem wzajemnem. Wobec ludzi, Knoll łą-
jał czasem bez żadnej ceremonji obie swe „baby“, jak
je nazywał, to znów jednej z nich okazywał łaskawość,
podszytą grubą zmysłowością, a drugiej pogardliwą nie-
chęć. Przyptywy łaski częściej skierowywane były ku
szwagierce, niż ku żonie. Obie te panie, tragicznie do
siebie podobne, miały jednakie namiętne oczy, ciemno
podkrążone, jednakie ruchliwe, niespokojne nozdrza i ru-
chy, czujne jak u tropionych zwierząt. Ale młodsza,
panna Łapicka, posiadała twarz okrągłą i świeżą, a Knol-
lowa wyglądała na spaloną w ogniu namiętnych własnych
uczuć, ze swem szczupłem, nerwowem ciałem i cerą
śniadą. Pani Mniszewska była przyjaciółką i powiernicą
Knollowej.

Zajęto się zaraz przygotowaniem do seansu. Do-
któr i profesor, którzy mieli objąć kierunek, zasłonili
szczelnie okna i ustawili niewielki owalny stół na środku
pokoju. W ostatniej chwili zapukano do drzwi i wśli-
zgnęła się panna Szołowska, wśród potoku słów. Nie
była proszona, ale taka ciekawość ją paliła, że nie mo-
głaby zasnąć całą noc. Prosi, błaga, aby gdzieś, choć w ja-
kim kąciiku pozostać mogła... Udzielono jej tego pozwo-
lenia, lecz stanowczo zdecydowano, że lista obecnych
jest już zamknięta. Pani Vera Illicz (rodem z Jugo-
sławji) nie brała udziału w żadnych przygotowaniach,
nie wtrącała się do niczego. Stała na uboczu, milcząca,
jakby niewidzialnym murem odosobniona i spoglądała
na wszystkich kolejno zagadką swych dziwnych, niesa-

mowitych oczu. Jeśman, zainteresowany mocno, pomagał doktorowi i profesorowi. Pięknego Kietlicza, któremu jeszcze aureola bohaterskich czynów dodawała uroku, otaczały jak zwykle kobiety, wśród których ironizował niedbale.

— Wszystko gotowe! — oznajmił Jagielski. — Doktor i ja siadamy z obu stron medjum dla kontroli. Proszę się grupować dalej wedle chęci. Nerwowe i wrażliwe osoby jak najdalej od medjum.

Nastąpiła chwila zamieszania, przeprowadzania drobnych, a upartych planów. Ostatecznie Mniszewska znalazła się obok Kietlicza, a Knoll na końcu ze swą zwykłą strażą przyboczną, żoną po prawicy, a szwagierką po lewicy.

Nastało denerwujące oczekiwanie wśród zupełnych ciemności. Słychać było sapanie Knolla. Minęło kilka minut ciszy głębokiej. Kietlicz uczył miękkie ramię, opierające się o niego, wionęły blisko twarzy znane perfumy. Ciepła i okrągła noga przyczynęła się nagle do jego kolana.

— Wiedziałem z góry, że tak będzie! — pomyślał, uśmiechając się w ciemnościach. — Kto wie, czy nie tu leży właściwy cel seansu dla znacznej większości zebra-nych.

Od strony Knolla dobiegło jakieś ciche szamotanie, przerywane szorstkim pomrukiem.

— Proszę nie rozrywać łańcucha! — upominał Jagielski. — Mam wrażenie, że medjum usypia. Może

państwo zanucą chóralnie pół-głosem. To czasem przyśpiesza objawy.

Po naradzie, popłynęła przyciszona „Serenada“ Schuberta. Śpiewali niemal wszyscy, z przejęciem upartem, jak niańka nad kołyską dziecka. Słodka melodia i namiętne słowa robiły dziwne wrażenie, płynąc w ciemności, z niewidzialnych ust.

— Przeływa prąd! — zauważył Jeśman głosem wzruszonym.

Po złączonych rękach szedł lodowaty powiew. Stół drżał leciutko. Zdawał się oddychać, jakby żyjąca istota.

— Uwaga: nał medjum zaczyna się jakaś materializacja! — oznajmił Jagielski tonem chłodnym i fachowym.

Istotnie nad ramionami Very Illicz słabo bieląla rozwiwna mgła. Jednocześnie zabłysło fosforyczne, nikłe światełko, przenosząc się z miejsca na miejsce. Nie przestawali śpiewać, zagłuszając parę nerwowych kobiecych okrzyków.

W pewnej chwili, Kietlicz uczył wyraźnie przenikliwy chłód, idący falą od ziemi. Jednocześnie dało się słyszeć silne uderzenie od spodu w blat stołu. Przestali śpiewać.

— Jest! — oznajmił Jagielski. — Będziemy teraz rozmawiali, wymieniając pokolei litery alfabetu.

Stukający „duch“ zgodził się na rozmowę. Zapytany o nazwisko, odpowiedział: Lech Ożarowski. Wówczas

rozległ się okrzyk pani Granickiej, która zachowywała się dotąd najciszej.

— Pani wie, kto to? — spytał Jagielski.

— Tak... Ależ on żyje... żył!

— Czyś umarł? — spytał profesor.

Odpowiedź brzmiała: nie.

— Zdarza się, że rozmawiają ludzie żyjący i uśpieni. To bardzo ciekawe. Zapytam go, z kim chce mówić.

Odpowiedź brzmiała: z Adą. Było to imię Granickiej.

— Niech pani z nim rozmawia! — zawołano.

Głosem słabym i drżącym spytała:

— Czego chcesz?

— Wracaj prędzej, bo żyć bez ciebie nie mogę!

— A to niedyskretny duch! — zahuczał głos Knolla. — Pyszna zabawa! Może tak po kolei dowiemy się tajemnic wszystkich pań!

— Proszę nie przeszkadzać, to takie ciekawe! — zniecierpliwił się Jeśman. — Ach! dlaczego pani przerywa łańcuch?

— Niedobrze mi — szepnęła Granicka, wstając od stołu.

Pukanie ustało. Musieli na nowo śpiewać długą chwilę. Objawy ucichły.

Knoll sarknął pocichu na „nerwowe baby“, uspokajany błagalnie przez obie swe towarzysзки. Inni też zaczęli się niecierpliwić. Nastrój rozwiewał się.

Naraz przeleciało coś ciężkiego między głowami Jeś-

mana i Jagielskiego i upadło na stół. Skonstatowali, że to klucz od fortepianu, zamkniętego zwykle. Jednocześnie rozległo się uderzenie w klawisze, niezdarne, jakby dziecinne, bez planu, bez melodji.

— Czy fortepjan i klawiatura zamknięte? — spytał Jagielski.

— Zamknięte — odpowiedziała Mniszewska, wstrząsana nerwowym dreszczem, tuląc się do Zygmunta.

Uderzenia w klawisze ustały. Vera Illicz niespokojnie jęczała przez sen. Lodowate podmuchy przepływały falami. Nastrój ogólnego zdenerwowania stał się niemal wyczuwalny. Jakiś szelest tkanin poruszanych przerywał naprężoną ciszę. Ktoś poruszał zwojami prześcieradeł, przygotowanych na ziemi na wypadek materjalizacji. W ciemności wyrastał i białął wysmukły kształt. Zbliżał się i stanął pomiędzy Verą, a profesorem Jagielskim. Poczem z charakterystycznym szelestem wsunął się na stół.

Rozległ się przenikliwy, histeryczny krzyk kobiety. Jakby na komendę zawtórowały mu inne.

— Światło! — zakomenderował profesor.

Jeden z akademików podskoczył ku lampie. Zabłyśło światło. Na stole leżało porzucone prześcieradło. Vera Illicz otwierała nieprzytomnie oczy, wodząc niemi z wyrazem zdziwienia. Panna Łapicka leżała z głową na ręku szwagra i krzyczała raz po raz. Siostra piorunowała ją wzrokiem i, wzdurliwym ruchem ramion, wzywała świat cały na świadków niestosownego zachowania. Knoll

był tak czerwony, że zdawał się blizkim ataku apoplektycznego. Mniszewska ścisnęła z całych sił rękę Kietlicza. Jeśman siedział blady z dziecięcym zachwytem w oczach.

— Jaka szkoda, jaka szkoda, że przerwano! — powtarzał.

— Trzeba zarządzić przerwę, medjum wygląda na wyczerpane — powiedział doktor.

Wszyscy ocknęli się jak z ciężkiej hypnozy. Wstawano, odsuwano krzesła. Mniszewska zapaliła przygotowaną spirytusową maszynkę i częstowała gorącą czarną kawą i likierami. Życie codzienne wracało zwycięską falą.

— Co sądzisz o tem? — spytał Jeśman kolegę, cały jeszcze wibrujący od przeżytych wrażeń.

— Byłyby to ciekawe rzeczy do studjowania — odpowiedział Kietlicz, zaciągając się papierosem — pod warunkiem, aby się odosobnić od bab histeryczek.

Knoll jowialnie mordował Granicką o przerwana jej rozmowę z duchem. Piękna pani, jeszcze głębszą tajemnicą osnuta niż zwykle, miała oczy gorączkowo płonące, podkrążone wielkimi cieniami, z czem jej było prześlicznie. Knollowa, dławiąc się goryczą własnych zjadliwych słów, wylewała potok skarg wobec uprzejmie współczującej panmy Szołowskiej. Panna Łapicka, uspokojona już, odbywała tajemniczą, lecz dość wesołą konferencję z doktorem Gaikiem. Mniszewska umiejętnie lawirowała wśród pozostałych mężczyzn, od czasu

do czasu zaczepiając o Kietlicza głębokiem, pełnem reminiscencji, spojrzeniem. Pani Vera siedziała w wygodnym fotelu, w pozie pół-leżącej, paląc w milczeniu papieros po papierosie i pijąc bardzo mocną kawę. Jeśman obserwował ją zahypnotyzowanemi oczyma, tak jak się obserwuje groźne i wspaniałe zjawisko. Choć nie spoglądała w jego stronę, musiała to jednak odczuć, bo naraz zwróciła leniwie ku niemu złowrogie i przepyszne oczy i powiedziała cudzoziemskim akcentem, ale poprawną polszczyzną:

— Niech pan napisze jakie zapytanie na kartce i poda mi ją w zapieczętowanej kopercie. Odpowiem, nie otwierając koperty.

Jeśman wydarł kartkę z pugilaresu, nakreślił słów kilka i włożył do koperty, którą znalazł na biurku. Vera Illicz wzięła zapieczętowaną kopertę i obracała nią w palcach. Oczy jej z natężeniem spoglądały w przestrzeń. Opadły ciężkiem spojrzeniem na Jeśmana.

— Zbraknie panu czasu na wypełnienie tego! — powiedziała głucho.

— Umrę, zanim się to stanie?

— Tak!

Wionęło chłodem złowrogim. Jeśman uśmiechał się z bladym przymusem.

Całe towarzystwo zainteresowało się nowemi objawami. Pierwsza Granicka zbliżyła się z kartką w zapieczętowanej kopercie, spłoszona i nieśmiała, jak dziewczynka.

Vera Illicz spojrzała bystro na kopertę, potem na nią i powiedziała dobitnie:

— On panią zgubi!

Tłoczono się teraz koło wyroczeni. Kietlicz ujął Jeśmana pod ramię.

— Chodź, dość tego! To wrażenia nie dla ciebie! Błady jesteś, oczy ci się palą. Masz napewno wzmożoną gorączkę. Odpokutujesz ten seans.

— Chwileczkę jeszcze — wypraszał się Jeśman rozgorączkowany. — Zadaaj ty jakie pytanie i pójdziemy sobie wówczas.

Kietlicz pomyślał chwilkę, uśmiechnął się i podał jak inni zapisaną kartkę. Pomimo otrząskania z najsilniejszymi wrażeniami, uczuł wstrząśnienie, gdy spozczyły na nim niesamowite oczy i głos obojętny, senny powiedział dobitnie:

— Nadchodzi szczęście, ale będzie zmarnowane!

III.

Nazajutrz, w skrzący się, rzeźwy ranek, Zygmunt Kietlicz szedł w stronę Kuźnic na umówione miejsce spotkania. Z rozkoszą oddychał przeczystym, zimnem tchnieniem, błdził oczyma po mocno odznaczonych cieniach, leżących na brylantowych śniegach. Żadnych półtonów, wszystko było jędrne, szczere w barwie: i lazur nieba, i biel szczytów, i ciemne ściany domów i rozmigotane okna. W żyłach czuł żywo krążącą krew, oddychał lekko, odurzała go młodość własna. Sztuczne podniety wieczoru rozwiały się niby mgła.

U stóp góry, zdaleka zobaczył grupę, czekającą przy bobsleyu. Obok Jeśmana stała wysoka i silnie zbudowana dziewczyna, cała w bieli sportowego ubrania, w wysokich białych butach do kolan, w krótkiej, fałdzistej spódniczce, w swetrze i czapeczce. Gdy Jeśman przedstawiał jej przyjaciela, oboje zamienili uważne spojrzenie, w którym znać było wzajemną ciekawość poznania. Kietlicz, którego orla, męska uroda przyciągała nieprzeparacie kobiece oczy i który przywykł do tego, z pewnem urągliwym zadowoleniem spostrzegł odrazu, że zrobił dobre wrażenie. O niej pomyślał sobie, że jest to zmoder-

nizowana... Oleńka Billewiczówna. W świeżej i miłej twarzy uderzały dwie oryginalne cechy: ciemne, szerokie, wydatne brwi, stanowiące niespodziankę przy jasnych włosach i jasno-szarych oczach, o spokojnym i uważnym spojrzeniu, oraz energiczny zarys okrągłego podbródka. Miała zwyczaj podnosić go do góry ruchem nieco wyzywającym, łagodnym miękką linią świeżych ust.

Kietlicz zapoznał się z resztą towarzystwa, złożonego z paru szczebioczących panienczek i świeżo upieczonych studentów, tło dość nikłe, na którym odbijała silnie indywidualna panna Tańska. Ona kierowała całą wyprawą; wszyscy posłusznie stosowali się do jej zarządzeń. Kietlicza to ubodło i zbudziło w nim ducha przekory.

Góralskie sanki wciągały na górę bobsley i słabszą część towarzystwa. Kietlicz i panna Tańska szli pieszo; wspinali się oboje lekko i sprawnie, przejawiając wielkie wyrobienie sportowe. Kietlicz chciał pomagać dziewczynie w trudniejszych przejściach. Podziękowała mu z uprzejmem zdziwieniem.

— Czy pan poraz pierwszy jedzie bobsleyem? — spytała go, mierząc uważnym spojrzeniem, pozbawionem zalotności.

— Pierwszy raz, pani. Wychowany byłem wśród równin.

— Niech pan pamięta, że bobsley to nie dziecinne saneczki. Muszę pana ostrzedz, że sport to niebezpieczny.

Nie mówię o tem, żeby na zwykłej drodze było to istne samobójstwo. Teraz mamy specjalny tor, wcale niezły, którym pojedziemy. Ale każdy niewłaściwy ruch ręki lub nogi grozi złamaniem.

— Pani odpowiada za nasze życie, podejmując się kierownictwa — powiedział, uśmiechając się z jej powagi, która mu się wydała dziecinna.

— Tak, poniekąd, ale trzeba stosować się ściśle do moich wskazówek. Czy pan ma zdrowe serce?

Roześmiał się, szczerze ubawiony.

— Niech pani wybaczy, ale jestem długoletnim żołnierzem i nie przywykłem do kobiecej opieki.

— Widocznie pan nie był ranny — odpowiedziała niezmiészana. — Ja znowu przywykłam do opieki nad żołnierzami w czołówkach.

— Ale wojna skończona i wracamy na stanowiska, odwiecznie przynależne i paniom i nam.

Uśmiechnęła się poraz pierwszy uśmiechem szczerym i miłym.

— Mnie się zdaje, że po wojnie nie wracamy do dawnego, tylko budujemy nowe życie.

— W najnowszym pozostaną pierwiastki niezmienne.

— Bezwątpienia, ale o jakich pan myśli teraz?

— Teraz myślę o tem, że przeciwnem jest naturze rzeczy, aby pani kierowała sankami, na których będę jechał biernie, zdany na jej wolę i posłuszny wskazówkom.

Aż przystanąła na drodze i objęła go całego spojrzeniem wielkich, zdumionych oczu.

— Ależ dlaczego, skoro ten sport jest mi bardzo dobrze znany, a panu całkiem obcy? Czy tyle jest w panu męskiej pychy?

— Może to i męska pycha — odpowiedział, śmiejąc się, — ale taka już moja natura.

— Ależ to całkiem dziecinne pojęcie — upominała go z niewzruszoną powagą. — Jeśli panu tak o to chodzi, to dam panu miejsce najbardziej narażone, zaraz za mną. Czy pan ma dobry wzrok?

— Brałem wszystkie nagrody za celność strzałów i pewność oka.

— To pana zadaniem będzie ostrzegać mnie wołaniem zawczasu o wszystkich przeszkodach, mogących być na naszej drodze. Chociaż nie przewiduję żadnych, bo nie wypuszczą bobsleyu bez telefonu z dołu, że tor jest wolny.

— Jednym słowem, pani mi ofiarowuje synekurę?

— Woli pan siedzieć przy hamulcach, na samym końcu?

— O nie! dziękuję! Nie chcę na samym końcu i daleko od pani.

Nie zwróciła uwagi na zaczepny ton, a ponieważ dochodzili już do domku u góry toru, gdzie czekały na nich sanki i bobsley, zajęła się zaraz z całą znajomością sprawy ustawianiem swego lekkiego, wydłużonego „boba“, w czym pomagała jej gorliwie młodsza część towarzystwa.

— Czy pan dość ciepło ubrany? — troszczyła się

panna Tańska o Jeśmana. — Usiądzie pan w środku i zasłoni sobie usta szalikiem, o tak, aby pęd mroźnego powietrza był mniej silny.

— Istotnie, pozostały w niej jakieś przyzwyczajenia siostry, opiekującej się rannymi — pomyślał Kietlicz. — Gdy chodzi o Jeśmana, to mi się to nawet podoba. Jest w tem coś macierzyńskiego. Zalotną nie jest. Prawdopodobnie skutek długiego obcowania z kolegami w uniwersytecie, a potem na froncie... Przywyka się do koleżeńkiego obejścia. Wieje od niej chłodem i czystością. A może to nierozbudzona kobiecość. Miły wypoczynek po erotycznych mężatkach i histerycznych pannach!

Panna Tańska usadowiła się u dziobu bobsleyu, wyciągnęła białe obute nogi na płozach i ujęła kierownik. Kietlicz usiadł tuż za nią, nogi położył na jej nogach, aby nie zaczęły w pędzie i objął ją silnie w pól. Wyczuwał pod dłońmi sprężyste i muskularne ciało i rytm równo bijącego serca. Przewyższał ją o głowę i wnet orlem spojrzeniem ogarnął krętą wstęgę błyszczącego jak szkło toru. Z dołu dano sygnał, z góry odpowiedziano i pchnięty bobsley zlatywać począł, nabierając z każdą chwilą większego rozpędu. Pęd, lot, szal, szybkość zawrotna, niedająca się z żadną inną porównać, rozkosz, głęboko upajająca! Mijane drzewa i przedmioty zlewają się w jedną linię, zimne powietrze tnie ostrzem twarzy, tor wiję się w zakrętach, „bob“ spada w dół jak kamyk, ciśnięty czyjąś ręką. Wjeżdża na przydrożne wały ze śniegu, nachyla się prostopadle i pędzi dalej w tej po-

zycji. Na nowe słowa komendy, chyła się wszyscy, ramionami złączeni, w jedną stronę, jak kłosa pod wiatru podmuchem. Prostują się i pędzą w niepowstrzymanym niczem, fatalistycznym locie, dalej i dalej... pozerając przestrzeń. Kietlicz, czujny, oznajmia o każdym zakręcie, przebywają w locie pętla serpentyn, zdają się nie dotykać ziemi... Mącą się myśli i wzrok... Wśród okrzyków radosnych metalowe sanki przelatują po równej przestrzeni kilkadziesiąt kroków... i stają. Minęli już cel, domek z sygnałami. Panna Tańska, uśmiechnięta i różowa, ogląda się na swą załogę, wydobywa z objęć rotmistrza i zeskakuje na ziemię.

— Brawo! — woła Kietlicz — to był chyba rekord szybkości.

Spoglądają na zegarki, rachują minuty.

— Powinszować pani pewnej ręki i zimnej krwi!

— Drobiazg! Rzecz wytrenowania. Trudniejszym zadaniom trzeba było podolać na froncie. Jedziemy znowu?

— Oczywiście! oczywiście!

— Jak się czuje porucznik? Czy nie za ostry pęd wiatru?

Porucznik czuje się doskonale. Oczy mu błyszczą, a w myśli układają się rymy o „locie szalonym, locie bezwolnym“, „po wstępach z kryształu...“

W Zigmuncie Kietliczu gra rasowa krew sportsmena. Podoba mu się szal jazdy, lekkomyślna odwaga, srebrem lśniący tor, prosty, a sprawny mechanizm bobsleyu...

i właścicielka jego, świeża, zimna i pełna tężyzny, jak powiew ze szczytów.

Jadą znowu, i drugi raz i trzeci. Kietlicz w lot sobie przyswaja tajemnice kierownictwa. Już teraz on prowadzi, zmieniają się pasażerowie, bo tym dwojgu zapaleńcom nikt nie może dotrzymać placu. Tor pustoszeje, godzina obiadowa, pełna obostrzonych rygorów po pensjonatach, wszystkich zwraca ku domom. Panna Halszka Tańska i rotmistrz idą też, ciągnąc za sobą „boba“.

Kietlicz jest stanowczo „wzięty“, lecz chociaż bardzo obcesowy wobec kobiet, które mu się podobają, nie stosuje zwykłych swych metod podboju. Zbity z tropu, nie jest już nawet pewny, czy sam zrobił dobre wrażenie. Panna Halszka jest ze wszystkimi rozpaczliwie jednaka, uprzejma i daleka.

— Ani flirtu, ani pozy! Do kroćset! To naprawdę jakiś nowy gatunek kobiety! — myśli sobie rotmistrz.

Idąc, rozmawiają o różnych przeżyciach wojennych. Okazuje się, że w wielu miejscowościach byli blisko siebie. Panna Halszka stale pracowała w czołówkach wschodnich formacyj. Z wielką prostotą opowiada o przeprawach pełnych grozy, zwięźle, spokojnie, „po żołniersku“, podkreśla Kietlicz.

— Bo też byłam żołnierzem — odpowiada z uśmiechem. — Z powołania, z przekonania i dziedzicznie.

— Pani jest „kresówką“?

— Tak. Urodziłam się w Inflantach, nad wielkim jeziorem.

— Poznała pani pogromy?

— O tak! Ojciec mój zginął w czasie pogromu naszego dworu. Obecnie pozostał mi tylko brat, który jest w Poznaniu w ułańskim pólku.

Zbladła i zmierzchła jej jasna twarz. Oczy wpatrywały się w minione okropne obrazy.

— Ja też to przeżyłem — powiedział cicho Kietlicz. — Pochodzę z Wołynia i wszystko moje i kochane w gruzach. Nie trzeba o tem myśleć, pani. Może to był okup konieczny.

Poczuł wielki przypływ serdeczności dla niej, wobec tego podobieństwa doli. Stojąc przed bramą jej pensjonatu, z niechęcią myślał o tem, że musi ją pożegnać i wracać do siebie, gdzie przy obiedzie pani Mniszewska, sztuczna od loczków na czole, aż do jedwabiu pończoszek, będzie go usiłowała uwodzić, a panna Szołowska zaleje potokiem nudnej, powszedniej gadatliwości.

— Czy spotkamy się jutro znów na torze? — spytał niemal błagalnie, nie śmiejąc nawet przetrzymać ręki na pożegnanie.

— Ależ bardzo chętnie — odpowiedziała z prostotą, ze szczerem wejrzeniem swych jasnych oczu.

IV.

Szmer przeleciał po zebranych tłumie widzów i rósł jak lawina:

— Jest! jest już!...

— Który to?

— Nasz! nasz! Marchwicki!

Z bajkowych światów, śniących w zimowych skrzeniach gór, lotem ptasim nadlatuje ludzka postać, drobna na tle olbrzymiej panoramy, zagubiona w przestrzeni, lecz przedziwnie drogi swej świadoma. Błyskawicznie zbliża się, coraz wyraźniejsza: już rozróżnić można strój narciarski. W tłumie! dech zamiera. Narciarz prześlicznym ruchem unosi się z nad ziemi, zakreśla elipsę, przez chwilę płynie powietrzem jak duży, górski ptak. Oto już stanął na nogach, zgrabnie i silnie. Wybucho huragan oklasków i krzyków.

Za tym pierwszym nadlatują inni. Zbiorowe serce widzów przed każdym skokiem bić przestaje. Potem wielkie westchnienie ulgi i radosne brawa. Duma narodowa wybucho entuzjastycznymi okrzykami na cześć polskich szampionów.

A oni wylaniają się jeden po drugim z przestworów

śnieżnych, dumni zwycięzcy przestrzeni i karkołomnych dróg. Niedostępnym górcom wydarli tajemnice; od kozic skalnych wyuczili się lekkości powiewnej, ruchów i skoków, do lotu podobnych. Na ich widok podziwem i zachwytem wzbierają serca.

Zygmunt Kietlicz siedzi wśród innych gości pensjonatu „Modrzejówka“. W antraktach sączy się mialki potok codziennych spraw i ploteczek. Nudny i marny wobec potężnej przyrody; tak jak marnemi i śmiesznemi wydają się modne kapelusze miejskich pań wobec surowej prostoty krajobrazu, a sztuczność nałogowo używanych kosmetyków aż krzyczy w olśniewającym blasku słonecznym.

— Niektórym kobietom dziwnie brak poczucia stylu! — myśli Kietlicz, z niesmakiem odwracając się od szczebiocących towarzyszek. Zdawałoby się, że trochę prostoty i ciszy nie jest rzeczą zbyt trudną do osiągnięcia, a jednak...

I zaraz mu przyszła na myśl ta, co była prostotą samą i tak ślicznie umiała milczeć. Właściwie wciąż miał ją podświadomie na samem dnie myśli swoich, jak utajony skarb. Zdenerwowany silnie, czekał na jej zjawienie się, brała bowiem udział w wyścigach pań. Męska jego natura, instynktowo dążąca do opieki i obrony, niepokoiła się na myśl o możliwych niebezpieczeństwach, mogących jej zagrażać. Majaczyły mu w pamięci zasłyszane opowieści o złamanych członkach, o śmierci przy źle obliczonym ruchu... Gdyby miał władzę, napewno by jej zabronił

karkołomnych sportów. Lecz ponieważ nie miał żadnej, więc buntował się tylko i gryzł. Irytował go Jeśman, którego widział zdaleka, tkwiącego przy pani Verze Illicz ze zbożnym i naiwnym podziwem, jak wobec fenomenu natury. Przypomnił sobie jej przepowiednię: „Szczęście przyjdzie, lecz zmarnowane będzie...” O niechby tylko przyszło! Ujmie je w silne dłonie i ulecieć nie da...

...Bieg pań! Pierwsza przybywa do mety sportsmenka zawodowa, Węgierka, mało komu znana. Zwycięstwo to witają dość chłodno: entuzjazm wzbudza dopiero pojawienie się drugiej z kolei narciarki. To panna Tańska. Pędzi lekko i szybko, ze skrzydłami u nóg, tak bezszelstnie, jak zjawa. Na biało-perłowym tle odcina się jej wysmukła sylwetka. Oto jest u celu, dysząca od biegu, różowa, uśmiechnięta. Owiana jest całą świeżością śnieżnych przestrzeni, które przebyła. Pod ciemnymi brwiami oczy skrzą się jak gwiazdy.

Otoczają ją kołem zwartem sędziowie, przedstawiciele prasy, koledzy-narciarze. Kietlicz przeciska się także i niecierpliwie wysłuchuje jej rozmowy z współpracownikiem jednego z większych pism warszawskich. Zwięźle i uprzejmie informuje go, gdzie się uczyła sportów zimowych, na jakich terenach wprawiała się w Szwajcarii i t. p... Taką miałby ochotę jej powiedzieć, że gdy ją ujrzał, nadlatującą jak duch skrzydlaty, błyskawicznie olśniła go myśl: oto nadlatuje wymarzone szczęście... Lecz musiał te słowa zamknąć w sercu, panna Tańska, otoczona, fetowana, przebywała cały czas w sferach nie-

dostępnych zwykłym widzom. Zniecierpliwiony, przed końcem zawodów udał się do domu.

Wieczorem, po obiedzie na cześć przybyłych gości, taneczna zabawa w Morskiem Oku zebrała znowu całe Zakopane. Wieczorowe, banalne stroje, orkiestra, wygrywająca nowożytnie tańce, wielka i źle oświetlona sala, towarzystwo mało między sobą zgrane i oglądające się nawzajem krytycznie, wszystko to razem robiło wrażenie prowincjonalnego, w gorszym gatunku, dancingu. Imponujący narciarze na tem bylejakiem tle tracili swój charakter. Zdobywcy gór przeważnie dość marnie wyglądali we frakach i smokingach. Kietlicz z ciekawością wyglądał zjawienia się panny Tańskiej w nowej postaci. Dotychczas widywał ją tylko w śnieżnej wełnie sportowych ubrań. Tymczasem, ponieważ taniec lubił, tańczył tango, shimmy i one-step'a.

Zmysłowe, hypnotyczne zapamiętanie zaczęło ogarniać salę. Milczące pary, pogrążone w kontemplacji własnych przemożnych odczuć, wykonywały wspólnie rytmiczne kroki z obrzędową powagą. Ani uśmiechów, ani spojrzeń zalotnych, ani szeptów, nic z rzeźkich zaleceń dawnych tańców; tylko jakaś somnambuliczna rozkosz, opjumowy, odurzający sen, śniony we dwoje. Mistrzynią tego właśnie rodzaju tańca okazała się pani Granicka. W jej tanecznem marzeniu była przepaścistość głębi, prawie zatrważającej; niesamowity urok, bił od jej postaci, zmysłową ekstazą sennej. Co było urocze u niej, zmieniało się w rozwydrzoną karykaturę u panny

Łapickiej, w pospolicity, niesmaczny szal, histerją podszyty u pani Knollowej, w sztuczną, wysiloną pozę u pani Mniszewskiej. Kietliczowi to wszystko wydało się naraz ograny do znudzenia motywem, gdy we drzwiach stała panna Tańska.

— Taka sama! taka sama! — wołała w nim wielka radość. Uczuł dla niej szaloną wdzięczność za to, że jak zwykle jest pełna spokoju i prostoty, że ma skromną, białą suknię i włosy faliste, rozdzielone nad jasnym czołem z ujmującą bezpretensjonalnością, za to że pozostała wierną jego marzeniom o niej. Z cechującą go, porywczą niecierpliwością przedarł się ku niej przez tłum i za chwilę unosił ją bez słowa w koło tańczących.

Namiętny „Pelikan“ rozlewał po sali hypnotyczny, niepojęty czar dziwacznej melodji, obcej, egzotycznej. Niósł tchnienie upalnej, podzwrotnikowej nocy i potężnego, milczącego, miłosnego szału. Kietlicz mocnem ramieniem zdobywcy i władcy przycisnął do siebie białą dziewczynę. Nie przytuliła się do niego biernie i uległe, jak to czyniły kobiety, które przed chwilą miał w objęciu; poczuł lekki, mimowolny opór dziewiczego ciała. I żołnierskie jego serce ogarnęło rozrzewnienie i tkliwy szacunek. Gorejącem spojrzeniem poszukał jej oczu. Wśród zmysłowych prądów, krzyżujących się na sali, pod deszczem uporczywym namiętnych aż do ekstazy tonów, w gorących ramionach, spoglądała jednako spokojnie, kryształowemi oczami. Nie zmąciła się ich dziecinna pogoda żadnym cieniem.

— Dziewczyno moja biała! — wypłynęło mu z głębi duszy najczulsze wołanie. — Żono moja...

Lecz słowa te skonały na jego ustach. Nie wymówił ich. Z głębin świadomości wyrwało się błyskawiczne przypomnienie: „Dora!...”

Zygmunt Kietlicz opuścił bal. Jak zwykle, gdy czuł się wzburzony, szybkim chodem uśmierzał rozbudzone roje myśli. Chwytał straconą równowagę, szukał drogi...

Zakopane spało już o tej godzinie. Cicho było, żadnego głosu ani szmeru. Złote plamy okien pogasły. Ciemności rozpraszała biel śniegu, zlewając się z niebem w ogólny perłowy ton, poprzecinany ciemnymi konturami świerków. Nigdy niezamarzający potok szumiał wiosennie. Powietrze było miękkie, pachnące odwilżą i dalekiemi przecuciami zwycięskich roztopów. Ogromne, miękkie płaty śniegów zsuwały się ze świerkowych gałęzi z głuchym łoskotem.

Kietlicz szedł sprężystym krokiem po śliskiej ścieżce i myślał sobie, że omal się nie oświadczył. Nigdy jeszcze i wobec żadnej kobiety, święte w pojęciu jego słowo: „żono!” nie wytrysło mu z serca w sposób tak spontaniczny. Czy kierowało nim jakieś tajemnicze w bezwiednej swej mądrości prawo doboru? Przecucie? Przeznaczenie?... Przywykł z każdej kwestji jasno sobie zdawać sprawę, więc i teraz badał skrupulatnie, czy ten poryw był istotnie usprawiedliwiony? Po ścisłym roztrząsaniu, radośnie doszedł do wniosku, że tak. Jego żywiołowa tęsknota do pewnego, spokojnego, trwałego

szczęścia znajdowała cudowne ukojenie. Oto spotykał kobietę czystą i dzielną, miłą i prostą, zahartowaną w ogniu prób wojennych, a dziewczęco świeżą. To jest opoka, na której gmach przyszłego szczęścia zbudować można, takiego właśnie, jak je pojmował. A ponieważ miał naturę do czynu stworzoną, niecierpliwą i stanowczą, porywczco począł żałować, że nie postawił jeszcze stanowczego kroku na drodze, nieodwołalnie pewnej, Dora? Tak, zapewne. Rycerskie nawyki nie pozwalały mu na tak przewrotowe w życiu decyzje poza jej plecami. Ale zawiadomienie jej o tem będzie tylko prostą formą należnej jej kurtuazji. Jej postawa, jej sąd decyzyjnego nie zmienią. Z ciepłym uznaniem pomyślał, że Dora jest kobietą wyjątkową, że kocha go miłością bezmierną, w której stapia się egoizm wszelki. Cierpieć będzie? Bezwątpienia. Lecz jakaż na to rada? Rozłąka przyjąć musiała prędzej czy później. Jest starsza od niego, a trzy lata miłosego stosunku zgasiły u niego... ogień pożądań. Jest to raczej tylko już śliczna i szlachetna przyjaźń, taka, jaką umięją darzyć wybrane kobiety, cenny amalgamat macierzyńskiej troskliwości, czułości kochanki i oddania siostry. I takiej przyjaźni przecie mu nadal nie odmówi. Bo i za co? Stosunek ich był jasny i pełny słodczy, nigdy niezmacony zgrzytem żadnym. Zasługa to obojga. Z równym artyzmem unikali oboje wszystkiego, co mogło być pospolitem i pozbawionem smaku. Nie, Dora mu napewno zachowa swoją przyjaźń. Przecie nie mogła przypuszczać, że się z nią ożeni.

Zbyt dobrze rozumiała fałszywą swoją wobec świata sytuację.

Raz jeszcze utwierdził się w zupełnem uniezależnieniu dalszych swych losów od wygasłej, niegdyś namiętnej miłości. Lecz czuł, że gdy Dora cofnie przyjaźń swoją, to w życiu jego zagaśnie jedno ognisko ciepła i szczęścia.

Postanowił stanowczo, w konkluzji, skrócić wypoczynek, wracać do Warszawy, rozmówić się z Dorą i wziąć się wówczas energicznie do budowy nowego życia.

V.

— Zabójczą jest krótkość tych zimowych dni! — niecierpliwie powiedziała Dora Markowska, gorączkowemi rzutami pędzła utrwalając pochwycony na twarzy modelki charakterystyczny cień.

Stała przed sztalugami, wysoka i fantastycznie szczupła, w białym swym fartuchu. Pochłonięta pracą, szybkimi krokami, podobnymi do skoków, to oddalała się, to przybliżała do płótna. Bardzo młoda i elastyczna w ruchach, twarz miała zmęczoną, pokrytą matową śniadością, wśród której gorzały mocną purpurą usta, rozczarowane i bolesne w wyrazie. Z tym samym wyrazem rozczarowania i mądrego smutku spoglądały przepyszne oczy, podkrążone wielkimi cieniami. Z fascynującej tej twarzy, jak z kart niezwyklej książki, odczytywać można było niezmierną potęgę przeżyć duchowych.

— Niechże pani ma litość nademną i nad sobą! Kończmy na dzisiaj! — zawołała modelka i zerwała się z fotelu, gdzie cierpliwie od dwóch godzin pozowała do portretu. Stała za Dorą i ciekawie wpatrywała się w podmalowane płótno.

— Proszę nie oglądać, to jeszcze niezupełnie pani.

Jest coś nieuchwytnego w wyrazie twarzy, coś tak subtelnie ruchliwego, że utrwalić tego nie mogę w żaden sposób.

— Moja złota, gdybym nie miała takiej właśnie twarzy, nie zaangażowanoby mię do „Komedji“ i nie obstawiałabym portretu ku pamięci potomnych.

Wdzięczna i żywa, młoda aktorka kręciła się po pracowni, napelniając ją szelestem, szmerem, zapachami perfum, błyskami sztucznie złotych włosów, ukarminowanych ust, białych ząbków, pokazywanych w uśmiechu. Aż się ciepłej zrobiło w surowej pracowni.

Zapukano do drzwi. Wpadła wesoła banda kolegów i koleżanek. Dora z trudem oderwała się od pochłaniającej pracy i odwróciła portret dla uniknięcia sądów przedwczesnych. Przyszli gromadą po „Domcię“, wprost z próby. Z czyjejs mufki wypadło pudełko z drażetkami czekoladowymi, ktoś inny miał w kieszeni palta mandarynki. Dora wydobyła z szafy likier i kieliszki. Rozpoczęła się uczta dorywcza, pełna niefrasobliwego gwaru i wesołości, trochę gorączkowej. Panie były ładne i strojne, mężczyźni mieli przeważnie twarze inteligentne i charakterystyczne. Wszyscy się „tykali“. Leciwały żarty i kpiny, często dosadne. Palono moc papierosów. Powietrze zasnuło się błękitnymi kłębami dymu.

— Złota panno Doro — mówił Szalkowski, myszkując wśród kartonów węglowych, złożonych w kącie pracowni, — gdyby pani chciała zniżyć trochę swe loty, aż do poziomu szarż, tobyśmy wydali album pod tytułem:

„Teatr w karykaturze“. Jabym napisał cięte wierszyki, a pani zrobiłaby portrety w karykaturze naszych najslawniejszych. Ręczę za nadzwyczajne powodzenie. Publiczka nasza przepada za wszystkim, co płynie z za kulis. Trzeba wyzyskać to zamięłowanie.

— Nie umiem chwycić cech karykaturalnych u ludzi.

— Otóż to właśnie. Pani kobietom przypina skrzydła, a z mężczyzn robi nadludzi; tak, że sami siebie poznać nie mogą. Ciekawym okrutnie tej naszej Domci skrzydlatej.

— A la Serafin, czy a la Amorek?

— O! Domcia to Amorek! *Un amour d'enfant!*...

— A cóż to za cudo? Czyje?

Do pracowni bez pukania weszła dziewięcioletnia dziewczynka, w pąsowym kapelusiku na olbrzymich, sfalowanych, ciemno-złotyach włosach. Prześliczne oczy, ciemne jak oczy Dory, spoglądały poważnie, z zadumą wzdurliwą na świat i ludzi. Za dziewczynką ukazała się twarz starej służącej, która na widok gości cofnęła się za drzwi.

— Księżniczka z bajki, mała infantka! Królewiątko przecudnie! Skąd się wzięło?

Cała gromadka aktorów otoczyła dziewczynkę, która spoglądała na nich z niewzruszonym spokojem.

— To jest moja córeczka — powiedziała Dora, dumnie spojrzeniem tocząc po obecnych.

W głosie jej brzmiała tak bolesna powaga, że le-

ciutki szmer zdziwienia ucichł, natychmiast zdlawiony.

— Krysieńko, ukłoń się państwu. Czy chcesz czego od mamusi, kochanie?

— Mamusiu, przyjechał wujek. Był teraz u nas.

Nagła bladeść okryła śniadą twarz malarki!

— I co mówił, dziecko?

— Mówił, że za godzinę przyjdzie znowu.

— Panno Doro złota, pora wyswobodzić panią z tego najścia braci aktorskiej. Nieprawdaż?

— Jazda, bractwo kochane. Ucałowanie rącząt artystki.

— Czy można uściskać tę chmurną królownę? Takie bogactwo złociste nosić na główce na codzień... to mar-notrawstwo.

— Ale te czarne, olbrzymie ślepki, jak to umieją spoglądać z góry! Niczem dama wielkoświatowa!

Żegnano się długo, wesoło i hałaśliwie. Wreszcie w pracowni została tylko Dora z dziewczynką. Stara służąca wsunęła się wówczas do pokoju, niechętnie i ukośne spojrzenia posyłając za odchodzącymi gośćmi.

— Był pan rotmistrz, Janowo?

— A był, proszę pani. Ma przyjść znowu.

— Przywiózł mi ciupagę, mamusiu, i pudełko śliczne, na którem są wycięte takie kwiaty, co nazywają się szarotki, a w tem pudełku... cukierki.

— Krysia chciała koniecznie zaraz iść do pani, nie mogłam jej utrzymać. Może to źle? Może przeszkodziła?

— Nic nie szkodzi, Janowo. I tak już zaciemno na

malowanie. Wracam do domu i odprowadzę ją. Niech Janowa idzie i przygotowuje do herbaty.

Dora gorączkowo zdejmowała fartuch, porządkowała farby, ubierała się do wyjścia. Wyszła, prowadząc dziewczynkę, która szła obok niej, śliczna w swej zadumanej powadze. Dora wstąpiła do kwaciarni, wybrała kilka purpurowych gwoździków. Oczy jej promieniały, pełne słodyczy. Gdy przysła do domu, ucałowała namiętnie córeczkę, w porywie radości, rozpierającej jej serce. Przebrała się w artystycznie obmyślany strój domowy, upięła nisko węzeł czarnych włosów. Gwoźdżiki włożyła do kryształowego wazonu. Przygotowała przybór do herbaty przed płonącym kominkiem i zasiadłszy w fotelu, z oczami utkwionemi w ogień, nasłuchując bacznie kroków na schodach... czekała. Dziewczynka usiadła na poduszce u jej nóg i przeglądała książki z obrazkami.

Mijały chwile, pełne niewysłowionego czaru, oczekiwania na szczęście. Szczęściem nie do pojęcia była sama obecność ukochanego człowieka, możność spoglądania nienasyconego na twarz, niezatarcie w pamięci wyrytą; wsłuchiwanie się w brzmienie głosu, który wśród ciszy samotnej dźwięczy potem w uszach rozkosznem echem; wchłanianie całą istotą blasku upojenia, aby żyć nim potem długo i rozświecać ciemność samotnych godzin, koić tęsknoty posepnego czasu rozłąki. Tak w lecie wchłania się chciwie łaskę słonecznych dni, aby ozłocić złotem wspomnień szarość zimową.

— To źle — szmerze podświadomy nurt myśli, uko-

łysanych błogością, — że tak ogromne miejsce zajmuje w życiu! Jak pusto, jak zimno poza nim! Nawet sztuka... nawet dziecko... ogromu tęsknoty nie wypełnią... To źle, to źle! Już raz tak stało się w życiu... i ból... straszny!... był okupem!

Spogląda na cichą, śliczną dziewczynkę, żywe przypomnienie krótkiego, upalnego szczęścia i lat rozpaczki po okrutnym zawodzie zdruzgotanych wszelkich wiar i złudzeń. Jeśli to przetrwała, to tylko dzięki dumie niezwykłej, która ludziom kazała rzucić wyzwanie. Odrzuciła pomoc wszelką, zerwała stosunki z dotychczasowym swym światem, zamknęła się w surowej pracy i sama wychowywała dziecko.

Ale w życie jej wszedł Kietlicz i przeciął odrazu pasmo dni szarych; rozpromienił się świat, słońce weszło na jej widnokręgu.

Gdy posłyszała znany dwukrotny dzwonek, zerwała się z sercem rozkołysanem. Nikomu nie odstępowała przyjemności otworzenia mu drzwi i powitania na wstępie. Nie zapalając światła w przedpokoju, zarzuciła mu, gdy wszedł, obie ręce na szyję w niepoahamowanym porywie. Ale subtelna jej wrażliwość odczuła natychmiast w jego powitaniu przymus i chłód. Zapanowała nad swoją radością i, jak zwykle, zastosowała się do jego nastroju... pozornie. Pomimo to, radosnem i nienasyconem spojrzeniem utonąła w jego twarzy, gdy stanął w świetle kominowego ognia.

— Widać, że wracasz z krainy słonecznej! Ogorzały

jesteś, choć inaczej niż w lecie. Masz twarz podobną do medalu z brązu.

— Doskonale wypocząłem. Próżnowałem, że aż wstyd! Leżałem na werandzie, jeździłem bobsley'em i poraz pierwszy od tylu lat myślałem o zdrowiu swem i przyjemnościach jedynie.

— I dobrze było?

— Bardzo dobrze.

Od tych słów, wypowiedzianych z przekonaniem, powiało na nią znowu chłodem. Bardzo dobrze! A ją zabijała tęsknota. Ale nie powiedziała nic, jak ognia unikając wszystkiego, coby mogło zakrawać na sentymentalność. Janowa wniosła herbatę, podaną tak, jak lubił, z cytryną i koniakiem. Dora chciała odesłać małą, lecz Kietlicz zatrzymał ją i przyciągnąwszy, bawił się bogactwem niezrównanem ciemno-złocistych loków. Nie zadawał żadnych pytań: przywykł do tego, że w tym domu przedewszystkiem interesują się jego sprawami, tak jak gdyby inne nie istniały pozatem. Szukał w myśli odpowiedniego wstępu, aby zacząć mówić o tych sprawach, jedynie go narazie interesujących.

Dora z uśmiechem przyglądała się pięknej grupie, jaką tworzyło tych dwoje ukochanych. Z zainteresowaniem artystki śledziła połyski ognia na włosach córki i sposób, w jaki rzeźbione rysy Kietlicza to powlekały się mrokiem, to jaskrawo występowały na światło, w zależności od kapryśnych migotów płomieni. Układała sobie, jak poraz dziesiąty szkicować będzie jego portret

z pamięci. Oddać go tak, wśród tych chwiejnych światel i cieni...

Zadumana dziewczynka tuliła się z zaufaniem do rotmistrza.

Instynktem przeczułonego dziecka odczuwała, że w życiu jej jest coś niezwykłego, jakaś tajemnica, która ściąga na nią ciekawe, lekko drwiące spojrzenia. Instynktownie otulała się w dziką nieprzystępność, jak w zasłonę; dlatego też jej ufność dziecięca i pieśczołliwość miały podwójny wdzięk, rzeczy rzadkich i drogocennych.

— Jak ty lubisz dzieci! — przerwała wreszcie Dora swą niemą kontemplację. — I wzajemnie mój dzikusek tak łąnie do ciebie.

— Lubię dzieci i chciałbym je mieć. Leżą bezwzględnie w planie mojego życia.

Szczerą jego, aż do szorstkości, natura nie znosiła niedomówień i niejasnych sytuacji. Postanowił pochwycić nasuwający się temat.

— Myślę, że w życiu każdego mężczyzny przychodzi chwila żywiołowej potrzeby... stworzenia sobie gniazda. Teraz tembardziej przychodzi, jako reakcja po życiu gorączkowem i niepewnem, jakie prowadziliśmy dotąd. Może to poprostu wrodzony instynkt samozachowawczy, nie pojedynczego człowieka już, ale wprost narodu. Tem wytłómaczyć można, że tylu wojskowych zwłaszcza żeni się, pomimo warunków niesprzyjających. Ach! mieć po tym zamęcie własne, ciepłe ognisko...

— Czy sądzisz, że dla ciebie nadchodzi ta chwila? —
głos jej zadrżał.

— Tak. W Zakopanem dużo o tem myślałem. Przyznam ci się, że nawet dlatego przyśpieszyłem powrót, bo chciałem z tobą o tem pomówić, Doro.

Nagłe olśnienie nieprawdopodobnej radości... Czyżby? och czyżby?...

— Widzisz, poznałem tam młodą panienkę...

O szalone, potrzykroć szalone serce, żadnem doświadczeniem nienauczone! Ach! śmiać się do łez nad wieczną naiwnością własną...

— Doro! Co ci jest? Dlaczego się śmiejesz?

— Co takiego?... Ja się śmieję?... Nie wiedziałam o tem. Przepraszam cię... To wybryk nerwów...

Najpierw ocknęła się w niej godność wobec własnego dziecka. Łagodnie odesłała małą do Janowej. Potem z całych sił wezwała na pomoc dumę, która ją zawsze ratowała w najcięższych chwilach. Na potem, na potem wszelkie refleksje... Będzie czas na to, gdy zostanie sama... nieodwołalnie. Kietlicz niespokojnie pochylił się nad nią.

— Doro... wciąż myślałem o tobie... Nie cofniesz mi przecie przyjaźni swojej. Taka mi droga!

— Nie Zygmuncie, nie cofnę przyjaźni... nigdy!

— Jakaś ty dobra!

Ujął jej rękę, która poraz pierwszy sztywno zwiśla w jego dłoni. Ale on, już uspokojony, chętnie począł się zwierzać z tego, co mu na sercu leżało najbardziej:

— Widzisz, to pierwsza poznana kobieta, wobec której przyszło mi na myśl to słowo: żona!... Posiada te wszystkie warunki, jakiebym chciał widzieć w towarzysze życia. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Z okrutnym i bezwzględny egoizmem mężczyzny, który przestał pożądać danej kobiety, zwierzał się przed nią, szczęśliwy, że zapewnioną ma jej przyjaźń na przyszłość. Nie zważał, że słuchała, ukrywając pod powiekami przepyszne swe oczy, że wszelkie światła zgasyły na stężelej twarzy.

Myśl, ciężąca kamieniem upokorzenia, chyliła jej głowę ku ziemi. Więc czemu była w jego życiu wówczas, gdy on był jej światem? Bała się sama przed sobą sformułować odpowiedź. Słoneczne i skrzydlate jej szczęście leżało w pyle...

— Czy wiesz już, co myśli o twych projektach ta panna? — spytała z wysiłkiem, zdobywając się na przyjaźne zainteresowanie, którego oczekiwał.

— Nie wiem. Nie chciałem mieć nic stanowczego między nami, dopóki nie rozmówię się z tobą, Doro.

— Dziękuję ci, Zyguncie.

— Nie zdaję sobie jasno sprawy, jakie są jej uczucia dla mnie. Zalotna nie jest. Traktuje mnie jak innych, raczej po koleżeńsku. Nie wiem jeszcze, czy mnie zechce.

— O to możesz być spokojny.

Z bolesną dumą ogarnęła wzrokiem piękną męską postać o grottgerowskiej twarzy. Nie chceć jego!... Bezbarwny, drewniany dźwięk jej głosu uderzył go.

Spojrzał na nią uważnie, ukląkł przy jej fotelu jak dawniej... jak niegdyś... i objął ją ramieniem.

— Doro, spójrz na mnie... tym kochanym wzrokiem... Przecie nie masz żalu... Postępuję szczerze, może za szczerze, po żołniersku. Nie umiem inaczej...

Sztywna pozostała w jego objęciu.

— Ja wiem. Ale między nami było, zdaje się, krańcowe nieporozumienie. Tyś w czasie tej rozłąki szukał szczęścia. I znalazłeś je. Ja tęskniłam, bardzo naiwnie, ale ogromnie. Ale to nic. Niczyjej winy tu niema. Prostu odmienny punkt widzenia. Niema zresztą o czem mówić.

— Ja wiem, że niema na świecie kobiety równie mądrej i subtelnie dobrej jak ty... i tak mi oddanej.

— A jednak, pomimo to, czułeś się bezdomnie w życiu — powiedziała gorzko — i tęskniłeś za szczęściem prostem i zdrowem, którego widocznie ja, istota wykolejona, dać ci nie byłam w stanie. Obyś je znalazł naprawdę!

— Doro, nie przestaniemy się widywać?

— Nie, Zygmuncie, widywać się nie będziemy. Chyba gdybyś mię potrzebował... kiedykolwiek i do czegokolwiek. Zawsze i na każdym miejscu, gdzie tylko będę... Wówczas zrobię wszystko. Ale jeśli będziesz szczęśliwy, to poco? Nawet sobie dziś wyobrazić nie możesz, ile czasu i myśli zabiera mężczyźnie żona, którą się kocha. A zresztą byłoby niełojalne wobec niej widywanie dawnej... kochanki.

— Doro, jesteś najlepszą, najpewniejszą moją przyjaciółką!

— Żona zaledwo toleruje dawnych przyjaciół męża. Przeciąga go zwykle do swoich stosunków. Nie, Zygmuncie, moja rola w twym życiu skończona. Zarówno jak i ty, nie uznaję pół-środków, pół-słówek, pół-przyjaźni, a przedewszystkiem dyspozycyją fałszywych. Prześlicznych, przeżytych wspólnie godzin nie chcę psuć niezręcznem przeciąganiem struny, aż dopóki nie zabrzmi dysonansem. Będę zawsze oddaną ci do głębi duszy... ale z oddali. Aby to ułatwić i sobie i tobie, zaraz jutro napiszę do Krakowa, że przyjmuję tam proponowane mi miejsce profesora przy szkole sztuk pięknych. Wyjadę, zerwę z Warszawą...

— Daruj mi, daruj mi, Doro... Czuję, jaki ci ból sprawiłem. Teraz dopiero rozumiem.

— Nic ci nie mam do darowania. Poprostu czuliśmy inaczej, powtarzam ci. Jesteś i byłeś zawsze wolny. Moje prawa do dania ci szczęścia przekazuję innej, szczęśliwszej. Zostaw mnie memu poplątanemu losowi... i moim wspomnieniom.

Tyle w niej było powagi stanowczej i taki majestat bolesnej godności, że Zygmunt nie śmiał ani nalegać, ani prosić. Spoglądał na nią w milczeniu, nie umiejąc znaleźć odpowiednich słów. Czuł tylko, poprzez jej sztuczny, dumny spokój, straszliwy ból: miał wrażenie, że zniszczył niezmiernie drogocenną rzecz, w sposób niepowrotny. Opanował go niezaradny żal i niezgrabna nieśmiałość

mężczyzny wobec wywołanego przez siebie cierpienia kobiety.

Zrozumiała, że mu jest źle i ciężko; zapagnęła też gorąco samotności i odprężenia trzymanych całą siłą na wodzy nerwów. Odważnie wymówiła słowa pożegnania, które miało być ostateczne.

— Idź już, Zygmuncie... Idź mój ty jedyny... Bądź szczęśliwy, tak jak ja tego pragnę dla ciebie. A to jest więcej, niż sobie wyobrazać możesz...

Zalała się jej głós. Jego ogarnęło przemożne wzruszenie. Wyciągnął ręce. W jakimś rozpaczonym porywie wpadła w jego ramiona. Namiętnymi pocałunkami osypała jego oczy, czoło, usta. Szlochała glucho bez łez, drżąc boleśnie. Potem stanowczym ruchem odsunęła go od siebie i oparła się ciężko o kominiek, z twarzą kurczowo wciśniętą w dłoń.

— Idź już, idź... Napiszesz do mnie, gdy stanowcza zmiana zajdzie...

— Doro!... Doro moja!...

— Nie! Idź! Już dłużej... nie mogę!...

Nie spojrzała więcej na niego ani razu, nie odkryła twarzy. Stał chwilę, patrząc na jej wyniosłą postać, pochyloną, jakby złamaną; uczynił krok ku niej, poczem zawrócił i zwolna wyszedł. Cała w słuch zamieniona, chwytając odgłos jego kroków w przedpokoju, szelest zdejmowanego z wieszadeł płaszcza, zapinanego pasa, cichy brzęk szabli... Wszystkie te dźwięki, tak znane, tak miłe, dzwoniły echem bolesnem nieodwołalnego pożegnania.

Otworzyły się drzwi wejściowe i zatrzasnęły z przykrym łoskotem. Potem kroki sprężyste na schodach, coraz dalsze... cichsze...

Gdy ucichły zupełnie, Dora uniosła głowę. Rozejrzała się dokoła trochę błędnie... W powietrzu snuł się jeszcze dym jego papierosów, krzesło stało odsunięte gwałtownych ruchem...

— Poszedł — szepnęła. — Poszedł na zawsze!...

Na popielniczce leżało kilka niedopalonych papierosów. Parę było zgryzionych nerwowo zębami. Spoglądała na nie długo.

Pobiegła do okna, otworzyła je... Wychyliła się w ciemność... Wśród niewyraźnych na dole sylwetek przechodniów, usiłowała odszukać jedną. Daremnie. Zamknęła okno, wstrząsana chłodnym dreszczem. Przekreśliła światło i pozostała z czołem opartem o szyby, zroszone deszczem, wpatrzona w ciemną pustkę... W dal głuchą porywała bezgłośnie, rozpaczne, daremne wołania.

VI.

Zygmunt Kietlicz wszedł na drugie piętro kamienicy, gdzie się mieściły biura „Odrodzenia“. Na prawo i na lewo ciemnego korytarza znajdowały się drzwi z napisami i numerami. Cały ogromny dom, zajęty przez różne instytucje, wrzał od dołu do góry intensywną pracą, jak gigantyczne mrowisko. Po korytarzach, po schodach snuły się liczne, spieszące postacie. Zygmunt zatrzymał jakąś chudą, niemłodą zaaferowaną niewiastę i spytał o panię Tańską.

— Pokój Nr. 18 — rzuciła mu w przelocie.

Na drzwiach wskazanych widniał napis: „Zarząd“. Kietlicz zapukał i wszedł. Wśród kilku osób, znajdujących się w dużym pokoju, odszukał zaraz tę, do której przyszedł.

Siedziała we wgłębieniu okiennej framugi, przed biurkiem.

Framuga ta stanowiła jakby osobną celkę i Kietlicz jednym bystrem spojrzeniem ogarnął estetyczny i stary jej wygląd. Kilim na podłodze, kwiaty na biurku, w porządku wzorowym ułożone rejestra i papiery. W mętnym świetle zimowego dnia, które wpadało przez okno

rysował się wyrazisty profil panny Tańskiej, o zgrabnym, nieco garbatym nosku i energicznie zarysowanym podbródku.

Kietlicz z radosnem uczuciem spotkał spojrzenie jasnych oczu pod ciemnymi brwiami.

— Niech mi pani daruje, że aż tu przychodzę i przeszkadzam w pracy — mówił, witając ją wzrokiem rozpromienionym i silnym uściskiem dłoni. — Ale mówiła mi pani, że w domu nigdy jej zastać nie można...

— Taki to też i dom! — zaśmiała się. — Pokój odnajęty i wspólny z koleżanką. Należę do męczenników warszawskich, zwanych sublokatorami!

— A ja do męczenników, zmuszonych rekwirować sobie pokoje! Już nie wiem, co gorsze. Jesteśmy oboje ofiarami powojennych stosunków, miejskimi parjasami — mówił, z zadowoleniem podkreślając tę wspólność doli. — Przychodzę tylko, aby zapytać, gdzie i kiedy mógłbym się z panią widzieć i porozmawiać, bo nie chcę tutaj przeszkadzać. Już na mnie ta starsza dama spogląda z ukosa.

— Za godzinę będę wolna. Niech pan przyjdzie tu po mnie — odpowiedziała z prostotą i pożegnawszy go koleżeńskim uściskiem dłoni, zwróciła się do oczekującego interesanta.

Zygmunt schodził z wolna, przyjaznem spojrzeniem wodząc po tych ścianach, wśród których przebywała „jasna dziewczyna“. Podobало mu się tempo pulsującego dokoła życia. Czuć tu było twórczą pracę, nieustanną,

a pilną, prawdziwą pracę mrówek, cechującą wszelkie kobiece organizacje.

W czasie wojny „Odrodzenie“ niezmierne usługi oddawało żołnierzom.

To już wystarczało, aby zaskarbić sympatię rotmistrza Kietlicza, wojaka z powołania.

Nie mógł sobie znaleźć miejsca przez naznaczoną godzinę oczekiwania. Nie chciało mu się rozmawiać, unikał znajomych. Zaszył się w kąt mało uczęszczanej cukierni, obłożył gazetami, nie przeczytał żadnej i przed upływem godziny, chodził znowu po korytarzu, przed drzwiami zarządu „Odrodzenia“, tam i z powrotem.

Ukazała się nareszcie panna Tańska, ubrana jak do wyjścia, w ciemnym futerku i toczku.

— Nie zapraszam pana dziś do siebie — powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie — koleżanka moja niezdrowa i zostawiłam ją w łóżku...

A więc, pójdźmy tam, gdzieby nam nikt nie przeszkadzał. Muszę z panią pomówić poważnie, bez świadków.

Bez zdziwienia odpowiedziała:

— W takim razie, ponieważ nie lubię ani cukierni, ani kina, pójdziemy na spacer nad Wisłę. Czas o tyle ładny, że nic nie pada, jak to bywa o tej porze roku w klimacie warszawskim. A przytem przejdę się chętnie, bo siedzę od obiadu, siedziałam zrana, a ta praca w zamkniętym pokoju męczy mię.

— Pani urodziła się na wsi, wśród wielkich przestrzeni.

— Właśnie. Duszę się bez powietrza i dlatego najchętniej chodzę nad Wisłą. Zdaje mi się zawsze, że tam wieje jakiś ożywczy wiatr... od morza.

Szli obok siebie gimnastycznym i sprężystym krokiem, mijając zręcznie przechodniów. Zapadał lutowy zmierzch powolny, mający już zabarwienie i wilgotny zapach wiosny.

Zapalano latarnie, które w błękitno-popielatej, przejrzystej mgłę zmroku świeciły, jak jasnożółte kule o ciepłym, miłym blasku. Miękką gazę wieczorowego światła ostro przerywały czarne, mokre, powikłane gałęzie drzew. Skręcili w Aleję Trzeciego Maja i owionęło ich wnet świeże, mokre tchnienie i zapach surowej, świeżo poruszonej ziemi. Uczyniło się ciszej, ciemniej i przestronniej. Szli, milcząc, ku rysującym się w cieniu wielkim filarom wiaduktu. Ona pełną piersią wciągała świeże tchnienie, on szedł, patrząc na nią i szukając w myśli odpowiednich słów.

Gdy doszli do mostu, zatrzymali się i oparli o parapet.

Potężny, wilgotny podmuch owiał im twarze. Olbrzymia, majestatyczna, ciemna rzeka rozścielała się w dole, obrzeżona złotymi sznurkami światła. Cicha była w zimowym bezwładzie, śniąca jakieś przedwieczne sny wśród ruchliwego rojowiska ludzi po obu brzegach, zastygła pozornie, w wielkim pędzie, niewzruszenie dążąc ku swoim celom, drogą sobie wiadomą. Wkoło nich było pusto i cicho, gwar miasta nie dolatywał.

— Pachnie jakby obietnicą wiosny — przemówiła

pierwsza Halszka. — Lubię takie zapowiedzi, lubię ten czas, gdy można sobie powiedzieć: Wiosna dopiero idzie, ale napewno wiadomo, że przyjdzie, że nic jej wstrzymać nie może, że każdy dzień ją zbliża, i że przed nami jeszcze całe miesiące jej czarów.

— Więc i pani tak lubi wiosnę? — radośnie spytał Zygmunt. — Ja przepadam za słońcem, za wiosną, za jasnymi dniami. Nie znoszę szarych barw i melancholijnych nastrojów w naturze.

— To dlatego pewno, że i pan i ja jesteśmy stworzeni do czynu — odpowiedziała Halszka.

Odwrociła ku niemu głowę i uśmiech jej błysnął tak blisko pochylonej nad nią twarzy, że Zygmunt doznał olśnienia i wartka krew falą uderzyła mu do głowy. Ujął w mocnym uścisku obie jej ręce i pochylając się jeszcze bardziej, wyszeptał namiętnie.

— A mnie się zdaje, że my jesteśmy dla siebie stworzeni. Czy pani tego nie myśli?

— Zdaje mi się chwilami, że tak — odpowiedziała szczerze i bez chwili namysłu, patrząc mu zbliska w oczy.

Oczy te zapłonęły nagle w ciemności, białe zęby błysły w uśmiechu radosnym, zdobywczym, niemal okrutnym i dzikim.

Silne ramię oplotło dziewczynę, przyciągając ją do piersi.

Miłosne, rwane, bezładne słowa wionęły z ust jego. Uwolniła się spokojnym, ale stanowczym ruchem.

— Zejdźmy na dół — szepnęła — nad samą rzekę... tu za dużo ludzi.

Zbiegła zręcznie po schodach, a za nią szedł Kietlicz, jak niesiony na skrzydłach radosnej dumy. Usiedli na ławce nad wybrzeżem. Jak po zerwaniu tamy, płynęły słowa wezbranym potokiem, pierwsze w życiu „oświadczyły“ rotmistrza.

— Dziewczyno moja biała, dzielna, jedyna... Jestem szorstkim, zdiczałym na wojnie żołnierzem, nie umiem mówić pięknie... tylko czuję mocno, szczerze... Zaufaj mi. Powierz swoje losy. Jestem sam na świecie, tak jak i ty. Będziesz mi wszystkim. Czy chcesz, czy ufasz mi, tak mało znanemu?

— Nie potrzebuję znać długo ludzi, aby ocenić — odpowiedziała. — Panu wierzę i ufam.

— I kochasz? — spytał szeptem, bojąc się spłoszyć dźwiękiem tego słowa.

— Tak — odpowiedziała cichutko, ale bez wahania.

Nie zdołała tym razem uniknąć silnych ramion, ani ust gorących i drapieżnych, które spadły na jej wargi, jak jastrząb na zdobycz. Długo trwała cisza! Usta dziewczyny, nieobronne, przyjęły pocałunek, nie umiejąc go oddać. W głowie mężczyzny zawirowało. Pierwszy to pocałunek taki... zadatek na całe życie. I nieznaną tkliwość załapała mu serce. Wyczuwając w ujęciu swych ramion jej bezwiedny, buntowniczy opór, puścił ją i zachował tylko w swej dłoni rączkę, której ciepło szło ku niemu poprzez grubą rękawiczkę.

— Nauczę cię miłości, dziewczyno moja — myślał z rozkosznym uczuciem.

Realny zmysł ocknął się w nim po chwili upojenia:

— Gdybym mógł wprowadzić cię pod dach przodków moich, ty moja słodka, do białego dworu, gdzie się urodziłem... Takim dziś bezdomny i biedny! Posiadam tylko pensję swoją, konia i zarekwirowane dwa pokoje. Czy nie pogardzisz tem?

— Nie wierzę dziś w żadne fundusze, wierzę tylko w pracę. Sama pracuję i nie przestanę pracować, a tylko na tem oprzeć przyszłość można.

— Wiem, żeś dzielna, złota, nadzwyczajna! Z całą skruchą wyznaję, że niegodny się ciebie czuję. Pierwszą taką, jak ty, spotykam.

— Niech pan siebie nie poniża. Ja wiem, ile pan wart i dlatego pan pierwszy...

Zrozumiał. Znowu załała mu serce fala rozczulenia. Tulił i całował, uniesiony szczęściem, aż przemocą wyrwała się z jego objęć.

Wieczór zapadł zupełny, nikt nie przechodził ciemnym wybrzeżem. Oni siedzieli, snując plany na przyszłość.

— Chciałabym, żeby pan znał moje poglądy na małżeństwo, aby już więcej nie wracać do tego przedmiotu i aby nie było nieporozumień.

— Cóż to za poglądy? — spytał, niemile dotknięty spokojem jej tonu, gdy usta jego palił wciąż jeszcze pierwszy pocałunek.

— Tak odmienne są dziś warunki bytu, że musimy

niektóre, przestarzałe formy odrzucić. Trzeba sobie powiedzieć, że tworzymy spółkę najściślejszą na dołę i nie-dolę, na zło i dobro...

— Rozumie się, najmilsza, ale trudności życia do mnie należą, ja sam wszystkim podołam, to mój obowiązek. Inaczej byłbym niedołągą...

— Nie, jedno tylko w takiej spółce nie może nieść wszystkich ciężarów. Ja nie potrafię być lalką. Przywykłam oddawna do samodzielnego życia i nie mogę go się wyrzec.

— Jak to rozumiesz, malutka moja?

— Naprzykład to: tyle mej pracy, tyle z mego ducha włożyłam w „Odrodzenie“, że nie mogę przestać tam pracować. Najpierw dlatego, aby pozostać materjalnie niezależną...

— Proszę, błagam, nie mówmy dziś o tych kwestjach. Tak odrazu... Poco psuć piękne chwile.

— Dlaczego? Pomówmy lepiej odrazu, aby więcej do tego nie wracać. Ja nie szukam i nie pragnę ani zabaw, ani strojów, ani komfortu. Przyzwyczajęń nabrałam spartańskich, z zabaw uznaję tylko sportowe. Ale żyć nie potrafię bez pracy, którą pokochałam...

— Zupełnie to rozumiem. Moje maleństwo takie było samotne w życiu. Postaram się z całych sił, abyś pokochała nowe życie i nowe zadania...

— Gotowa jestem — powiedziała ciepło — ale bez wyrzekania się dawnych.

Zygmunt uśmiechnął się wśród ciemności szczęśli-

wym uśmiechem zwycięzcy. Aż nadto wiedział, jakim nieprzewyższonym czarem umiał do siebie przykuwać kobiety. Błysło mu wspomnienie Dory, takiej niezwyklej, tak wysoko stojącej duchowo, a tak ślepo i namiętnie kochającej. Serce na chwilę ścisnęło się żalem nad nią. Odegnął żal i wspomnienie. Już wstąpił w nowe życie.

— Halszko złocista, na wszystko się godzę, idę na wszelkie koncesje, ale błagam nawzajem o jedno: nie każ mi czekać na ślub, nie droż się, nie skąp mi szczęścia...

— Nie mam wcale tego zamiaru, ani żadnego ku temu powodu — odpowiedziała, śmiejąc się.

— Dziękuję, najmilsza... Nie będziemy czekali, aż się post skończy. Pobierzemy się na św. Józefa, dobrze?

— Ależ to niespełna za miesiąc.

— I cóż z tego? Czy mamy staroświeckim sposobem czekać wieki na wykończenie wyprawy?

— O nie, na to nie mam funduszów. Moja cała wyprawa: to trochę pamiątek rodzinnych, ocalonych przed pogromem, ot! wspomnienia domu...

— A więc w porządku. Zaraz jutro zajmę się zapowiedziami.

— Co za gwałtowność. Aż mi się w głowie kręci... Zaśmiał się szeroko, radośnie, śmiechem szczęścia.

— Do tej gwałtowności wojaka będziesz się musiała przyzwyczaić, malutka moja pani. Nie robię nic połowicznie. Oj Halszko! jak nam dobrze będzie razem! aż strach pomyśleć... Prawda?

— Mam nadzieję, że tak.

— Brak ci porywu i entuzjazmu, moja pani zbyt rozsądna. Ale przy mnie nauczysz się i tego, równie jak wiele innych rzeczy nowych. Zobaczysz! Słodko będzie zostać twym nauczycielem. Chyba wdzięczniejszej roli nie miałem nigdy!

VII.

Burza organowych, rozpętanych tonów, wstrząsająca echem kościoła Pijarów; przejmujący aż do dna duszy śpiew potężny; potem łkanie skrzypiec, nabrzmiewających olbrzymiem wołaniem; upajający zapach, więdnących w upale świec, białych bzów; morze światła, odbijających się i migocących na złoceniach ołtarza: cały ten przepych światła, woni i muzyki, aby uczcić nową miłość, taką, na której ma się oprzeć całe szczęście życia.

Porwanemi strzępami myśli te wirowały w głowie rotmistrza Kietlicza. Obok niego klęczała Halszka nieruchoma, nawpół ukryta iluzją białego welonu: Kietlicz prosił o tradycyjny strój ślubny. Chciał wziąć swoją białą dziewczynę w kwiatach i welonie, nie rezygnował z poezji, jaką tradycja otacza pannę młodą. Halszka w tym stroju z bajki i z poematów, bledsza niż zwykle, milcząca i skupiona, wydawała mu się obcą, uroczystą, onieśmielającą; była w niej lekka melancholja i królewski majestat, który otacza dziewczynę-oblubienicę i rozrównaniem napelnia nawet obojętne serca.

Stało się! Przebrzmiały uroczyste słowa przysięgi, padło ostatnie błogosławieństwo. Organy wybuchnęły znowu

burzą tonów, triumfujących i uroczystych. Dorodna młoda para, ująwszy się pod ręce, zwróciła się ku obecnym.

Ślub narazie miał być bardzo cichy i skromny, lecz Kietlicz nie mógł się pogodzić z nieobecnością w tym dniu kolegów broni, przyjaciół w złej i dobrej doli, towarzyszy długich wędrówek. Stawili się wszyscy, ze zwierzchnikami na czele. Halszka chciała mieć koleżanki z „Odrodzenia“, koleżanki z czołówki, kolegów ze studjów. I tak tych dwoje sierot bezdomnych znalazło się w otoczeniu licznego orszaku. Hrabina Iżycka, prezesowa „Odrodzenia“, postanowiła wydać u siebie obiad ślubny dla tej najlepszej z pracownic stowarzyszenia i do niej miał się udać orszak po ukończonej ceremonji.

Wśród uśmiechów, ukłonów, uścisków dłoni, młoda para szła zwolna ku wyjściu szpalerem, utworzonym z mundurów ułańskich. Dowódca półku, w którym służył Kietlicz, długo i z przyjemnością ścisnął rączki uśmiechniętej Halszki, winszując jej, że zdobyła i przykuła do siebie tak dzielnego wojaka i niepoprawnego wietrznika. Za nim cisnęli się inni koledzy co najskwapliwiej. Najserdeczniej, do łez wzruszony, witał ją Jeśman; szepnął cicho:

— Panno Halszko... pani rotmistrzowo... jest nieco i mojego udziału w tem wszystkim, nieprawdaż? Proszę sobie przypomnieć bobsley...

Tymczasem do Kietlicza dopadło hałaśliwe i strojne grono pań: były tam doktorowa Mniszewska, przesadną

radością maskująca niezapomnianą porażkę, panna Łapicka, panna Szołowska, złowroga Vera Illicz. Na jej widok Kietlicz przypomniał sobie przepowiednię i spojrział na nią wyzywająco, z wyżyn radosnej pewności siebie. Wysłuchał z roztargnionym uśmiechem gorących zapewnień doktorowej, że ona domyślała się odrazu, że wiedziała, iż się tak skończy, że Zakopane jest jedyną na świecie miejscowością, gdzie się kojarzą małżeństwa szczęśliwe. Górując głową nad tłumem, szukał wzrokiem dokoła. Zdawało mu się, że poprzez ciżbę obojętną, patrzącą na niego oczy Dory: czuł ich bezgłośnie wołanie, krzyk udręczonej miłości. Daremno przypominał sobie, że Dora wyjechała do Krakowa, jak to zapowiedziała: nieuchwytnie odczucie spojrzenia tego opanowało go przełożnie, odsuwając na chwilę nawał innych, splątanych wrażeń.

Gdy wyszli przed kościół, owiał ich łagodny, przejrzysty, szafirowy zmierzch wczesnej wiosny, pachnący wilgocią i wonią nabrzmiiałych pąków drzewnych. Na zachodzie leżały długie pasy złotawe, prześwitując z poza domów. Kietlicz wsadził do karety Halszkę, owianą falami bieli i zapachem bzów, i kazał jechać wolno Aleją Trzeciego Maja, nad Wisłę, na miejsce ich pamiętnej rozmowy. Objął żonę ramieniem i trwał tak w milczeniu, przytulony do niej, nie płosząc jej gwałtownością uścisków. Czuł, że przeżywa jakąś jedyną w życiu swem chwilę. Olbrzymia fala rozczulenia napełniała mu serce. Poczucie wielkiej odpowiedzialności za to drugie istnienie, zwią-

zane z jego własnem, moc dobrej woli, tkliwość, odczucie mocy swojej i pewnej przewagi w stosunku do niej, oddającej mu się ufnie, wstępującej w nieznaną krainę wspólnego pożycia ze wzruszającą nieświadomością, rozpiętało mu piersi. Nie wątpił ani na chwilę w męskiej swej niezależności, że on ujmie i poprowadzi tę nić wspólnego życia, tak jak go rozumiał, dla najpełniejszego szczęścia obojga. Opanowała go radosna pewność jasnej przyszłości i wybuchła potokiem najczulszych słów i zapewnień. Beładnie, urywanemi słowy, porywczy, począł jej mówić o tem, co mu przepelniało duszę. Nie podnosząc głowy, którą on oparł na swem ramieniu, słuchała z uwagą, uśmiechnięta.

— Dotrzymam w całej rozciągłości to, com przysięgła przed chwilą — powiedziała z przejęciem poważnem.

— A przysięga posłuszeństwa? — spytał, już zwrócony myślą ku sprawom frywolnym i rozkosznie nęcącym.

Nie zdążyła odpowiedzieć, ani nawet tchu złapać pod nagłym gradem porywczych pocałunków.

Uczta weselna była gwarna i wesoła. Panowie wojskowi zalecali się na umór do koleżanek Halszki, pannie młodej na wyścigi prawili siarczyste komplimenta. Kiełtliczowi zdawało się chwilaami, że jest nie na ślubie własnym, lecz na miłej bibie koleżeńskiej. Halszka umiała doskonale przystosować się do tej atmosfery, wśród której przebywała już nieraz i zaskarbiała sobie te serca marsowe, do rozculeń skłonne.

Po wysłuchaniu niezwyklej ilości toastów, wiwatów, mów pochwalnych, a nawet, ze względu na zasługi, położone przez obojga, i programowych, Kietlicz wyrwał wreszcie żonę z pośród oblegających ją kolegów. Gdy wiózł ją do siebie przez usypiające miasto, zalała mu duszę bezgraniczna gorycz. Nie czekał na nich nikt, obudzeni właściciele mieszkania tylko szemrać i wyrzekać będą.

Gdyby tak jechali, jak rodzice jego i dziadowie do rodzinnych przepięknych Stawek! Wyraziście zobaczył bramy z zieleni, tłumy służby i włościan, witających nową dziedziczkę, długą aleję klonową i na końcu jej... biały dom, w którymby Halszka była królową. Czy jest rzeczą możliwą, aby to, co było niewzruszoną ostoją dla tylu pokoleń, naraz rozwiało się jak miraż, i zabrakło pod nogami gruntu, który zdawał się opoką?

W obu pokojach, staraniem przyjaciół, pełno było koszów z kwiatami. Woń bżów, hyacenty i storczyków upajała w tej zamkniętej, ciasnej przestrzeni. Na wyrażne życzenie Halszki, która znajdowała, że każde z nich powinno mieć pokój własny, aby nie krępować wzajemnej swobody, oba pokoje urządzone były jako sypialne. W większym i ładniejszym ustawiono mebelki Halszki, na ścianach rozwieszono portrety jej rodziców, fotografie utraconego domu.

W każdym szczególnie znać było rękę troskliwą i zapobiegliwą. Kietlicz pomimo to miał serce ściśnięte.

— Daruj, daruj mi, że tyle ofiarować ci mogę tylko...

— Tem lepiej. Nie przygniatasz mię zbyt wielką przewagą. Wygnaniec i wygnanka; jesteśmy równi.

Na biurku leżał stos depez i listów. Zaczęli je przeglądać. Zygmunt wziął najpierw podłużną liljową kopertę, zaadresowaną śmiałem wytwornem pismem kobiecym. Był to list od Dory. Zawierał zaledwo kilka słów życzeń. Z każdego z nich wołała powściągnięta moc miłości, utajona, zabijająca tęsknota.

Zygmunt wsunął list do kieszeni. Zapiekł go jak ból w dawnej ranie. Jednocześnie poczuł wyrzut, że na samym wstępie do wspólnego życia ma tajemnicę własną.

Spojrzał na Halszkę. Stała z pochyloną głową, uginającą się pod ciężarem kwiatów i welonu, i odczytywała ze zwykłą swoją, spokojną uwagą jakiś długi list, drobnem kobiecym maczkiem zapisany. Twarz jej, zaróżowiona od jego pocałunków i wypitego szampana, wychylała się, świeża jak kwiat, z fali iluzji, z uroczym kontrastem ciemnych brwi i jasnych włosów.

Triumfalnym ruchem posiadacza zamknął silne ramiona nad białą postacią. Pochylił nad jej głową twarz, w której uśmiechały się marząco usta, a oczy płonęły, drapieźne i zuchwałe.

Zamierające białe kwiaty słały woń upojną...

VIII.

Młodzi Kietliczowie wzięli oboje urlop na maj: postanowili czas jakiś spędzić w Poznaniu, z bratem Halszki, a potem odwiedzić jedyne go stryja Zygmunta, który po wygnaniu z majątków na Podolu i po ich rozgromieniu, przeniósł się aż na Hel, skąd się nie ruszał wcale. Na-tem narazie ograniczyć mieli familijne wizyty poślubne.

Leszek Tański był to przemiły porucznik ułanów, za ledwo o dwa lata starszy od siostry. Miał tak jak ona ciemne brwi i jasno-niebieskie oczy, tylko figlarne, wiecznie śmiejące się i sypiące iskrami. Trzpiot i szalała w bardzo dobrym stylu, o ładnym i ańskim gościu, przypadł bardzo do serca szwagrowi. Kochał siostrę nadzwyczajnie, dumny był z niej, chociaż nie bardzo rozumiał. Zaraz się z tem zwierzył Zygmunutowi w pierwszej poufnej rozmowie w winiarni na placu Wolności, dokąd zaciągnął szwagra, podczas gdy Halszkę goszczono w poznańskim kole „Odrodzenia“.

— Wiesz — mówił, popijając reńskie wino, na które zgodzili się obaj po poszukiwaniach w karcie, — moją wieczną obawą było, że Halszka wcale zamąż nie wyj-

dzie. Tak się zatopiła w tych swoich społecznościach! Ba-
 lem się, iż jej to życie tak napelni, że na małżeństwo już
 nic nie zostanie, ani czasu, ani myśli, ani chęci! Tymcza-
 sem wystraszyła sobie takiego pierwszej klasy męża!
 Zuch z mojej siostrzyczki! Ona jest wprost nadzwyc-
 zajna, ale dotąd była zamało kobietą. Brakowało jej
 właśnie tego, co może tylko dać miłość. Gdy ją rozbu-
 dzisz, będzie z niej bajeczna niewiasta. A już taki lew,
 jak ty, rozbudzić chyba potrafi, co?

Zygmunt zaśmiał się tylko. Nie chciał zwierzać się
 przed bratem żony, że rozbudzenie „białej dziewczyny,
 zatopionej w społecznościach“ było rzeczą o wiele trud-
 niejszą, niż to sobie wyobrażał.

— Ja tam osobiście i do własnego użytku wolę ta-
 kie... wiesz?... kobieciątka, przytulne, przylepne, które
 świat cały widzą w kochanym człowieku. Mam właśnie
 teraz jedną taką Niemeczkę...

— Niemeczkę? Ba! i cóż za sztuka! Powiedz mi
 to o Polce...

— Zbyt skomplikowane dla mnie, zbyt intelektualne.
 Trzeba mieć zdrowe nerwy z niemi. Po co mi to?
 Jestem sobie chłopak prostego serca, przepadam za ko-
 bietami i za miłością, ale zmykam od wszelkich życio-
 wych komplikacyj, a tam, gdzie pachnie dramatem, to już
 mnie niema. Życie i tak djabelnie trudne, nie widzę racji,
 aby je wikłać jeszcze. Ale co tam ja? *simplex servus*
Dei. Wy-zato oboje jesteście moją chlubą. Naprawdę,
 takiej drugiej pary, ze świecą poszukać!

— Czy Halszka od dzieciństwa była taka wybitnie samodzielna?

— Ano chowała się bez matki... A potem przyszła wojna, pogrom, ruina, zupełne sieroctwo... Musiała sama sobie wystarczać i radzić.

— I doskonale się tego wyuczyła, chwilami to mnie upokarza. Mam wrażenie, że jestem jej zbędny. Jest tak rozsądna, że ma zawsze rację, a tak praktyczna i dzielna, że nieraz lepiej odemnie może przewyciężyć i potrafi każdą trudność życiową.

— Ideał dla męża trochę niedołęznego, co?

— Zapewne, ale ja po staremu przywykłem rządzić nad kobietą opiekę, może nawet i władzę...

— I po staremu lubisz takie troszkę nielogiczne, rozkapryszone i z wdziękiem niedołęzne, co? Znam się na tem: bezwiedne męskie atawizmy. Ano, widocznie trzeba je będzie do archiwum złożyć: idą kobiety nowe, a z nimi może supremacja kobiet: Kto wie? One są djabelnie żywotne, a nas wojna tak znużyła... Może się poddamy dla tem większej wygody...

— I owszem, ale tak wiesz? już w piątym krzyżyku...

— Ja wiem, żeś ty zuch. Podobasz mi się okrutnie. Gdybyś nie był mężem mojej siostry, to zamiast siedzieć tu i filozofować nad szklanicą, zaciągnąłbym cię do bardzo wesołego kabareciku... Z ciebie musi być kompanielada. Ale mam skrupuły...

— Pójdziemy jutro z Halszką...

— Oj nie bardzo to w stylu poznańskim! Ale co

tam! my jesteśmy kresowcy! A zatem zgoda. Od jutra zaczynamy bomblerkę... z Halszką razem. Z niej też dobry kompan, taki przyjaciel kochany!...

Istotnie, Kietliczowie przez tydzień „poznawali“ Poznania z punktu wyłącznie interesującego porucznika Leszka. Zygmunt więcej, co prawda, był zajęty studjowaniem żony na tem dwuznacznem i nieco śliskiem tle, aniżeli samych instytucyj, ku rozrywce służących. Były zresztą dość marne i nosiły prowincjonalne piętno. Kietlicz był zdania, że kobiety nie umieją ładnie „hulać“. Są albo przesadnie sztywne i niezręczne, albo nieestetycznie rozhukane. Halszka pozostawała sobą; spokojna, zgodna, nie wysuwała się na pierwszy plan, ale też i nie udzielała sobie nigdy w zupełności. Ani wino, ani atmosfera swawolna nie wpływały na jej nastrój.

— Grzech nie ma do niej przystępu — mówił Leszek.

A Kietlicz myślał:

— Jakżebym chętnie wyuczył ją grzechu, gdyby nie była moją żoną...

Na Helu ōwiała ich odrazu inna atmosfera. Pan Konstanty Kietlicz, niedawno magnat podolski, właściciel wspaniałego dworu, pełnego zbiorów sztuki i mebli starożytnych, żył dziś z jakichś ocalałych kapitałów, w wynajętym domku, w lesie, niedaleko latarni morskiej.

Na tle czterech, skromnie umeblowanych pokojów, dziwnie odbijała wytworna postać kresowego pana, przepojona tym bezwiednym rasowym wdziękiem, jaki na-

daje kultura wielu pokoleń. Wielki znawca kobiet, wytrawny psycholog, doświadczony we wszelkich sprawach życiowych, polubił Halszkę odrazu, traktował ją z szarmanterją uroczą, chociaż nieco staroświecką i nieznacznie obserwował.

Spotkanie z dawno niewidzianym stryjem wielkie wrażenie zrobiło na Zygmuncie. Gorączkowe lata wojny i tułaczki nie pozostawiały czasu na wspomnienia i rozważania; życie intensywne zbyt pochłaniało siły i myśli. I oto naraz wraz z postacią stryja, jedyne, jaki mu pozostał z rodziny, cały wskrzeszony odłam przeszłości stanął mu w pamięci. Snuły się uporczywe obrazy, bezładne a wyraziste, chociaż czasem bardzo odległe... Jakieś święta Bożego Narodzenia, wśród białej ciszy śniegiem okrytego dworu, uroczysta słodycz rodzinnego zjazdu, dzwonienie janczarów i dzwoneczków, długi szereg, sunących w przecudny fiolet zimowego zmierzchu, sanek, przebłyski ciepłe i nęcące z oddali... długiego szeregu przyjaźnie oświetlonych okien...

Złoty dzień lipcowy, pachnący miodem, rozdzwoniony szczęśliwym brzękiem pszczół, turkot wozów, z rozmachem jadących po snopy na pole rozslonecznione, uroczy, wonny cień lipowego szpaleru, a w głębi, wśród migotliwych złotych strzałek, biała sukienka. Rozkoszny spazm serca, nito lęku, ni radości... Migotliwa rzeka, leniwo sunąca wśród oczeretów, zapach dzikiej mięty i tataraku, łódka z psem czujnym u dzioba, ciężki lot zrywających się kaczek, przedziwny triumf pierwszego

celnego strzału... Jesienny zmierzch przed kominkiem, w migotach ognia wylaniając się z olbrzymiej sali... stare portrety i rozmowa serdeczna, w której dwie dusze otwierają się, jak kwiaty w słońcu...

Wszystkiemi oknami otwarty na aksamit pachnący letniej nocy, rozbrzmiewający dźwiękami muzyki, tanecznym hałasem, dom stary... wesołość huczna, jak wiosenny potok... Młodość radosna i niefrasobliwa, dom nad wszelkie pojęcie, odwiecznie własny, otoczenie kochające, swojskie, każdy krzew dziedzińca, każdy sprzęt domowy, niewypowiedzianie blizki, i naraz straszliwa zawierucha, która to wszystko zmiotła, zniszczyła, unicestwiła...

Objęci obaj tym tragizmem wspólnym, rozumieli się ze stryjem bez słów. Starszy pan Kietlicz cieszył się ogromnie, że i synowica odczuwa to samo.

— A toś mię ucieszył, a toś mię obdarował osobiście takim wyborem. Zygma! Żona twoja, byleby tylko dała się pokochać, byłaby zawsze istotą blizką; ale cóż dopiero taka zupełnie z naszego brzegu! Bo widzisz, synowico najmilsza, daleki jestem od wszelkich zaściankowych patryjotyzmów: każdy Polak... to mój brat. Ale dziś, między nami, tak okrutnie bezprzykładnie wydzielczonymi, a innymi, dla których zasadnicze warunki nie zmieniły się, otwarła się przepaść. Oni nas zrozumieć nie są w stanie, ani my wytłumaczyć im siebie. Więc stoimy samotni ze swym bólem, na ruinach prastarych nakazów i wiar życiowych. Odrazu wydarto nam wszystko,

aż do racji istnienia i, tak strasznie okaleczonych, rzucono w ciężki zamęt nowego życia. To, czegośmy bronili stulecia całe, osunęło się nami z pod nóg; to, cośmy pokoleniami gromadzili w dziedzinie kultury, zniszczyły nam ciemne moce. Szczęśliwi są młodzi o niespożytych siłach i świeżej sprężystości, którzy, jak wy, umieją nowe życie odbudować!

Siedzieli na werandzie cukierni nad brzegiem zatoki Gdańskiej. Srebrnawo-modra toń lśniła w wiosennem słońcu błyskami polewanego metalu. Horyzont przecinały zgrabne sylwetki statków, sunących do Sopotu z Gdańska, z rozwianą kitą białego dymu, płynącą za nimi jak lekka chmurka, przez którą przyświecał błękit nieba. Na dole, na ciepłym i lśniącym piasku wybrzeża, rybacy rozpinali mokre sieci. Szeroka fala oddechu morza owiewała im twarze szorstką pieszczotą, rozrzucała lekkie, jasne i ciężkie włosy Halszki, wysuwające się z pod bereciku.

— Ale stryj nie ma żalu do tego nowego, budzącego się życia? — spytała nieśmiało Halszka, w której młoda dusza śmiała się do pięknego otoczenia.

Pan Konstanty Kietlicz spojrział na nią z upodobaniem.

— O nie, dziecinko kochana! Nie chowam w sercu bezprzedmiotowego żalu; daleki jestem od powszechnego dziś, płytkiego pesymizmu. Wierzę w tworzącą się Polskę, jak w Boga, dumny jestem, żem jej obywatelem. Ale że nie znoszę partyjnych swarów, przeto schroniłem się aż

tutaj. Lecz po swojemu pracuję dla swoich idei. Budziłem polskiego ducha na wschodnich kresach. Odebrano mi tamtą placówkę. Dziś w ten sam sposób pracuję tutaj. A jaki to wdzięczny materiał ci Kaszubi! Twardy i dzielny, ale trochę nieufny i uparty:

Trzeba, aby pokochali Polskę, a nie będzie miała wierniejszych synów. Nie myśl, dziecino, że ja tu żyję, trując się jedynie goryczą wspomnień i daremnych żalów. Mam i tu swoje pociechy. Śledzę z radością każde wko-rzenie się Polski w ten upragniony brzeg morski. Ile razy słyszę ten świst kolejki — wyciągnął rękę w kierunku stacji — tyle razy myślę. A przecie się Niemcy na to nie zdobyli, dopiero my... Ilekroć na szczycie latarni morskiej, skauci, którzy tu obozują, zaśpiewają „Rotę“, tylekroć razy powiem sobie. Jest przedziwna sprawiedliwość dziejowa...

— A jaka to przyszłość! Ile tu zrobić można! — zawołał Zygmunt z młodzieńczą ochotą człowieka szczęśliwego. — Spójrz się tylko Haluś i pomyśl sobie: stary las sosnowy, piasek, z jednej strony cicha zatoka, kąpiel dla dzieci i słabych; z drugiej, o kilkaset kroków, pełne morze dla zuchów takich, jak my. Powinien tu zjeżdżać cały świat kąpiący się... Lecz tymczasem, Bogu niech będą dzięki, że narazie jesteśmy tu sami i że te wszystkie rozkosze do nas tylko należą.

— Będziemy ich używać, ile wlezie — wesoło przytaknęła Halszka.

— Oczywiście, stryju, żona moja należy do klubu

wioślarek, a za pływanie ma jakiś tam żeton, setny z kolei... Ona je przecie kolekcjonuje..

— Postanowiłaś widocznie, kobietko, pobić wszystkie rekordy...

— Urodziłam się nad jeziorem — odpowiedziała śmiejąc się. — Woda, to mój żywioł rodzinny...

— Wodnico ty moja biała i chłodna...

Zygmunt zębami przytrzymał jasny pukielek, który uporczywie muskał go po twarzy.

— No, mój Zygmata, jeżeli mi tej wodnicy nie zmienisz w kobietę z krwi i kości, to powiem, żeś kiep...

— Robi się, co można, stryju...

Pod uśmiechniętym i pobłażliwym patronatem stryja, eks-donżuana, na uroczym przylądku, nad szumiącymi falami, wśród czarujących aromatów sosen, rozpoznał się prawdziwy miesiąc miodowy Zygmunta i Halszki.

Każda niemal młoda para przeżywa okres, najśłodszy i najpromienniejszy, który w życiu późniejszym, choćby bardzo ciężkiem, przyświeca blaskiem zorzy.

Okres taki nadszedł dla młodych Kietliczów.

Daleko poza nimi pozostały kłopoty codzienne, praca obowiązkowa, uprzykrzone drobne troski: stryj, nad wszelki wyraz gościnny, usuwał to z pamięci i z przed ich oczu. Słły długie, pachnące dni majowe, nalane słońcem po same brzegi. Błękitno-srebrne fale mocną i rozkoszną pieszczotą chłostały ich młode ciała, rozgrzany piasek służył im za łożę, silne, słoneczne promienie osuszały i opalały: Zygmunt wyglądał jak posąg z brązu

ze swą muskulaturą potężną, Halszka jak Najada o złocistej skórze. Pół dnia igrali w morzu, niczem rozbawione dzieci, a potem spali na ciepłym piasku, opleceni ramionami. Czasem puszczali się we dwoje łódką na pełne morze, śmiejąc się do siebie radośnie wśród bryzgów piany, chlustów wody, bujania na grzbietach fal. Jeździli z rybakami na połów, bładzili po lesie, odurzeni zapachem jego słonecznego rozkwitania i subtelnym pyłkiem nasiennym, unoszącym się złotymi chmurami. Wstępowali do chat kaszubskich na świeże flądry. Uciekali od wszystkiego, co pachniało cywilizacją wielkomięską, Gdańskiem, Sopotem, domem gry; pogardzali takimi środkami lokomocji, jak kolej i statki parowe. Postanowili jednozgodnie wieść żywot „dzikich ludzi“. Wrócili wieczorem do domu, upojeni słońcem, morzem, lasem, wiatrem i sobą, tak senni i nieprzytomni, że stryj z mądrym, wszystkowiedzącym uśmiechem coprędzej wyprawiał do ich pokoju. Pozbawiony długich gawęd wieczornych, na które liczył trochę, lubił zato siadywać na brzegu i przyglądać się, jak oboje, silni i sprawni, płynęli obok siebie wśród rozkołysanych fal. Podziwiał ich i cieszył się skrytą, radosną nadzieją.

Raz siedział tak z Zygmuntem, który niedawno wyszedł z morza i z rozkoszą poddawał się gorącym słonecznym pieszczotom. Halszka leżała opodal na piasku i spała snem znużonego dziecka. Krótki czarny trykot nie zakrywał jej sprężystych i wysmukłych nóg, ani linji okrągłych ramion. Pozwalał odgadnąć zarysy młodego ciała,

giętkiego, rozwiniętego sportami i gimnastyką w harmonijne kształty.

— Muszę ci podziękować, Zygma, w imieniu całego rodu Kietliczów za żonę, jakąś wybrał. Zdrowy instykt kierował twym wyborem. Jesteś ostatnim z rodu. Dzieci twoje i Halszki będą wspaniałe.

Zygmunta ogarnęło silne wzruszenie. Nigdy sam przed sobą tej kwestji tak jasno nie postawił. Chodziła mu czasem po głowie, lecz niesformułowana. Spojrzał na Halszkę, jakby ją widział poraz pierwszy: ogarnął go tkliwy szacunek i lęk niemal dziecinny, jak wobec świętej tajemnicy. Kobięcość! macierzyństwo! cóż za cudowne, niepojęte misterja. Żadna inna kobieta na świecie nie może być porównana do śpiącej na słońcu z dziecięcym spokojem. Spoczywa w niej przyszłość i nadzieja jego starego rodu, w niezłomnym nakazie domagającego się dalszego życia, a zarazem jego własna nieśmiertelność, przekazanie osobistych cech. Miał ochotę klęknąć przed nią, najtkliwszym szeptem, tajnami i drżąciami od wzruszenia słowy pytać, badać... I czuł, ten zdobywca serc, że nie śmiałyby, że stałby niepewny i wahający, w obawie sprofanowania niesłychanie subtelnej tajemnicy, podniesienia zasłony na sanktuarjum, zniszczenia delikatnych płatków pąku, osłaniających cud kwitnienia...

Przez dzień cały żołnierska, twarda dusza tała w sobie cichą radość i uroczyste wzruszenie. Koło Halszki chodził, jak koło królowej dostojnej; aż spoglądała nań raz poraz z miłym zdziwieniem. Bo też w myśli składał

w jej ręce królewską władzę i korzył się przed jej przyszłym majestatem.

Wieczorem, przed spoczynkiem, wyciągnął ją jeszcze na wybrzeże.

Chciał być z nią sam wobec bezmiaru, jak w uroczystej świątyni. Morze, niewidzialne, wzburzone, szumiało w aksamitnych ciemnościach ciepłej, chmurnej nocy, wzdychało, groziło, potężne wśród głębokiej ciszy całej przyrody. Daleko, na pełnym morzu, przesuwiał się statek, oświetlony rzęsście złotymi punkcikami okien, dzierzgając świetlany ścieg na matowem tle. Od czasu do czasu jasna łuna latarni morskiej wydobywała z cieniów coraz to inną przestrzeń roztoczy, jaskrawo oświetlając szczegóły, poczem wszystko się pogrążyło w tem czarniejszą noc. Z lasu, wygrzanego w słońcu przez cały długi dzień, płynęły wonie jak z trybularza.

Zygmunt objął żonę ramieniem i ulubionym ruchem złożył jej głowę na swej piersi. Wówczas, mając tuż pod ustami jej uszko, wylaniające się z puszystych splotów, zaczął szeptać tklive pytania, przeplatane gorącemi pocałunkami.

Halszka podniosła głowę ze zdziwieniem.

— Ależ to niemożliwe teraz! — powiedziała tak spokojnym i stanowczym tonem, że poczuł nagły chłód w piersi.

— Dlaczego?

— Wy, mężczyźni, w niektórych kwestjach życiowych jesteście zupełnie dzieci.

— Nie rozumiem — powiedział sztywno, wypuszczając ją z ramion.

— To poprostu wielki zbytek, na który sobie obecnie pozwolić nie możemy.

— Zbytek? Cóż za dziwaczne określenie, nieco za modernistyczne, dla moich starych pojęć — odparł szorstko, boleśnie odczuwając ruinę jakiejś niesłychanie cennej wiary. — Mnie się zdawało, że to jest łatwo zrozumiały obowiązek.

— W dzisiejszych warunkach?

— Zawsze, gdy się posiada tak jak my młodość, zdrowie i byt.

— Właśnie o ten byt chodzi. Opiera się na naszej wspólnej pracy. Ja nie mogę przestać pracować.

— Halszko, nawet nie zdajesz sobie sprawy, do jakiego stopnia mię upokarzasz. Wszak nie jestem nie-dołęgą, który rodzinie swojej nie potrafi bytu zapewnić.

— Lecz nie jesteś i nie możesz być wołem roboczym. Ja się na to nigdy nie zgodzę. Nie poświęcę obowiązków już istniejących dla problematycznego.

— O jakich obowiązkach istniejących mówisz?

— O tobie i o mojej pracy.

— Twoja praca? Czyż może być stosowniejsza, miłsza, słodsza praca dla kobiety jak dziecko i jego wychowanie? Czy ty naprawdę do tego nie tęsknisz? Nie czujesz w sobie tego żywiołowego, przyrodzonego pragnienia?

— Nad przyrodzonymi pragnieniami powinien gó-

rować rozsądek. Nie mogliśmy obecnie dać naszemu dziecku tego, co by mu się należało. Nie mamy nawet swego kąta, za ledwo nas tolerują w cudzym mieszkaniu. Ty dziś sobie wyobrazić nie możesz, jakby się wówczas skompliowało niesłuchanie nasze życie. Dla ciebie stałoby się nieznośną taczka, dla mnie byłoby niewolą.

Oszołomiony i niemal przerażony, słuchał tego głosu, spokojnie argumentującego. Uroczy gmach marzeń, skrycie piastowany dzień cały w duszy, walił mu się na głowę.

Wydał się sobie śmiesznym. Jego woli, przeciwstawiła się inna, niezłomna.

— Mówisz o tem, jakby to wszystko było kwestją dawno przez ciebie pomyślaną i przesądzoną... — mówił w niepojętem zgnębieniu.

— Bo nie my jedni jesteśmy dziś w tem położeniu. Wystarcza rozejrzeć się dokoła siebie...

— Ale przecież wychodząc zamąż, musiałś być przygotowana...

— Na wspólne życie, na wspólną pracę... Mówiliśmy o tem wyraźnie...

Słuchał jej i spoglądał na nią, jakgdyby ją widział poraz pierwszy... Na ustach ważyło się pytanie, którego nie miał odwagi wypowiedzieć...

— Więc ty... od samego początku!

— Tak — odpowiedziała, odgadując jego myśl. — Nie mogłam bezmyślnie zdać się na wypadek w sprawie tak ważnej.

Poczuła w ciemnościach, że odsunął się od niej.

— Czyżbyś naprawdę był o to gniewny? — spytała łagodnie. — Czy nie uznajesz moich racji?

— Uznaję — odpowiedział głosem znużonym. — Muszę...

— Rada jestem, żeśmy się szczerze rozmówili w tej kwestji. Między nami wszystko powinno być jasne. Prawda?

— Prawda. Zdaje się, że zaczyna padać. Może wrócisz do domu i położysz się, ja tu jeszcze posiedzę.

— Wróc zemną.

— Nie. Przyjdę za chwilę.

Zawahała się, lecz odeszła w milczeniu.

— On jest większy, teoretyk i idealista, niżli ja — myślała.

Zygmunt pozostał sam. Wstał i przechadzał się po piasku. Fale groźne teraz, wzburzone, łkające głośno, rzucały się na brzeg, obryzgując go pianą. Szedł coraz dalej, postanawiając nie wrócić, aż dopóki Halszka nie uśnie.

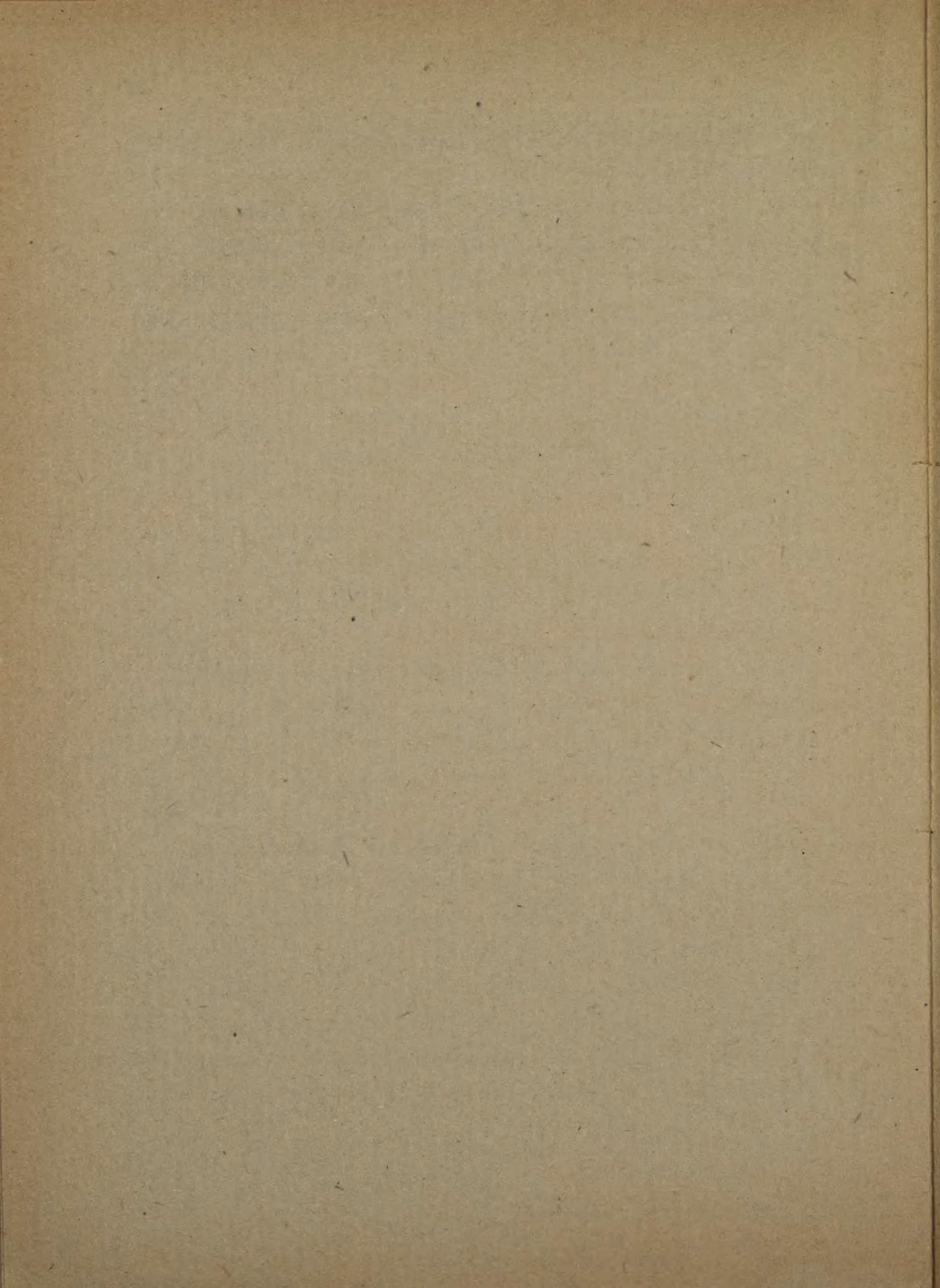
Czuł głęboki żal za doznane rozczarowanie i niesmak.

Myślał o swych gorących, udaremnianych pieściznach, o swych złudzeniach, o nimbie, w jaki dziś stroił kobietę wybraną. Więc i tu nie było przyszłości? Z uniesień miłosnych nie wylaniał się świat nowy i ona, jak tamte, jak wszystkie tamte, z których wiele już zaginęło nawet we wspomnieniach... Cierpiały w nim zranione, jakieś odwieczne wierzenia i ideały. Prysła

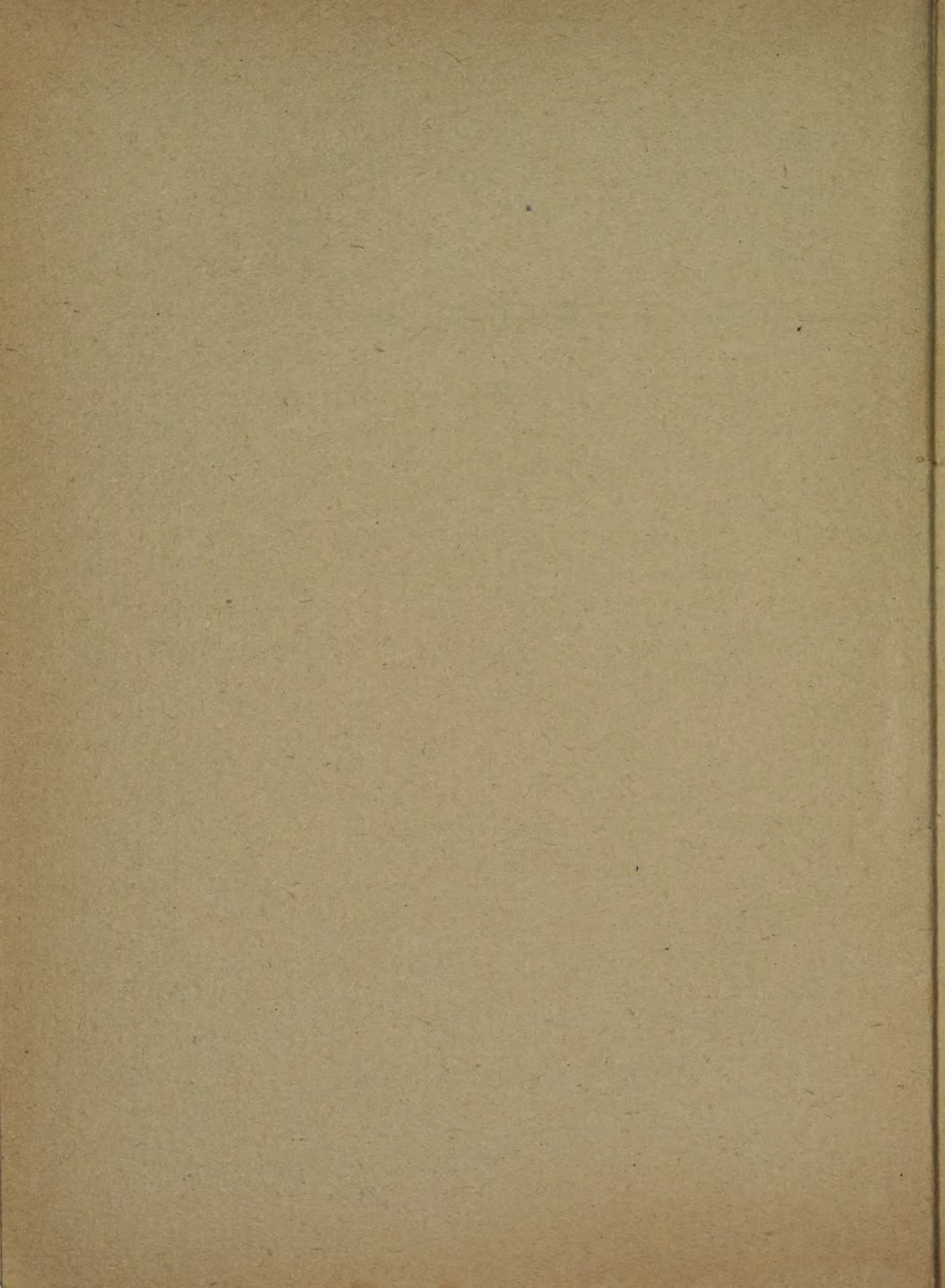
tęczowa bańka złudzeń, rozwiana zinnemi słowy, pełnemi rozsądkiem...

...Poszarzał jasny Hel. Zagaśł jakiś promień, osypały się płatki delikatnego kwiatu. Państwo Kietliczowie wrócili do Warszawy. Na gładkiej powierzchni ich życia zarysowały się rysy i skazy. Nie mówili nigdy o tem, lecz czuli to oboje.

Koniec części I-szej.



CZĘŚĆ II.



IX.

Zygmunt Kietlicz przeniesiony został ze służby czynnej do sztabu. Pracował teraz w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Osnuwała go zwolna szarzyzna życia. Po bujnym, rwanem, gorączkowym życiu na froncie, dusiła go chwilami atmosfera biurowa. Rozmach i impetyczność, właściwa jego szerokiej naturze, skurczyły się, zanikały. Gorzki posmak nudy, jałowość pracy, wyglądały chwilami z nurtu życia, jak podwodne rafy, obnażone nagle po opadnięciu wód. Bezbarwna, błotnista, obmierzła jesień wielkowiejska przygnębiały wrażliwą na piękno przyrody duszę syna bujnej, wołyńskiej ziemi.

Halszkę pochłaniała praca w „Odrodzeniu“. Wieczory jedynie spędzała z mężem. Obiady jadła razem z całym zarządem... w stołówce stowarzyszenia. Zygmunt chodził do kasyna oficerskiego, albo do restauracji „Kresy“, prowadzonej i obsługiwanej przez ziemianki kresowe. Spotykał tam dawnych sąsiadów, wyzutych z ojcowizny, jak i on, i rzuconych na bruk warszawski.

W szkaradne, rozdeszczone południe listopadowe Zygmunt Kietlicz opuścił biuro, bardziej niż zwykle zmęczony, zły i zniechęcony. Miał przykre zajście dnia tego.

Nawykły do rygoru i mechanicznego posłuszeństwa wojskowego, irytował się rotmistrz brakiem sprężystości i subordynacji. Praca około niego nie szła tak składnie, jak powinna, w jego mniemaniu. A jednocześnie czuł, że nic nie wskóra wobec pewnej zaśnieździej rutyny.

Groźny i gniewny, wszedł do restauracji „Kresowej“ i usiadł w kącie pod oknem. Przerzucał z pasją papierosy w papierośnicy, gdy posłyszał pytanie:

— Czem panu można służyć?...

W oklepianym frazesie brzmiał jakby tajny śmiech. Podniósł oczy. Przed nim stała „kelnerka“ w eleganckim, haftowanym fartuszk, z beczenną staroświecką broszką u wycięcia bluzki, w jedwabnych pończoszках i lakierkach na przedziwnie rasowych nóżkach. Była to młoda dziewczyna, z krótko uciętymi bujnemi włosami, które miękkie i ruchliwe, coraz to w inny sposób okalały główkę psotnego i zarazem melancholijnego pazia. Była tak drobna, że wyglądała na niedoroślą dziewczynkę. Przeczył temu wyraz wielkich, ciemnych oczu, rozczarowanych i dojrzałych w swoim smętnem rozmarzeniu. Charakterystyczne były jej usta, bardzo drobne, a zarazem pełne i purpurowe, stulone w grymas dziecinny i jednocześnie namiętnie pieśczołliwy. Zygmunt spoglądał chwilę na tę dziewczynę, całą owianą specjalnym wdziękiem kobiet z południowych kresów, aż nareszcie zawołał:

— Panna Ryśka Lubowicka! Nie myślę się, dali-bóg!... — I serdecznie wyciągnął ku niej rękę.

— Nareszcie raczył mię pan poznać! — powiedziała

z miłym dąsem. — A ja już nieraz zdaleka pana obserwuję i czekam... przywita się, czy nie?...

— Ależ, panno Ryśko, tyle lat minęło od naszego ostatniego spotkania w Jędrychowcach, na balu! Pani była dziewczynką prawie...

— I dziś niewiele urosłam. A pan... to się nic nie zmienił. Zawsze „grottgerowski“ rycerz... Zaraz panu zupę przyniosę...

Frunęła, lawirując zręcznie między stolikami i wróciła po chwili z dymiącym talerzem.

— Nic nie wiedziałem, że panie są w Warszawie. Cóż robi mama pani?

— Mama założyła sklep z antykami. A ja zupę podaję... Takie to są losy zmienne koleje... Ale coź robić, skoro Jędrychowiec niema, a ja absolutnie nic, ale to nic robić nie potrafię. Zapisałam się wobec tego jako kelnerka do „Kresów“...

Usiadła naprzeciw niego i na śmiesznie małej, upierścienionej rączce oparła głowę o ciemnych puklach.

— Powiadają panie, że to dość wesołe zajęcie — powiedział, przyglądając się jej melancholijnej pozie.

— Ano, czasami... gdy się zbierze swoje kółko... To wówczas tworzy się niemal raut. A gdy tak przyżegują tu jacy wstrętnei paskarze, lub, co gorsze, panie z miasta.

Skrzywiła się wymownie i komicznie.

— Najgorsza bieda z rachunkami. Absolutnie nie mogę sobie dać z tem rady. Zawsze proszę którego z pa-

nów znajomych, aby mi pomógł. Taka zemnie niezdara, że pan pojęcia nie ma...

— Tak — zażartował — taniec i ślizgawka, umiejętności, w których pani celowała, nie przydadzą się teraz w walce o byt... Co prawda, walka o byt i taki motylek, jak panna Ryśka...

— Cała nadzieja — westchnęła — że może znajdzie się jaki *nouveau riche* na mej drodze!... A słyszałam... *a propos*, że pan wpadł w sidelka Hymenu. Nawet znam trochę pańską żonę, bo czas jakiś pracowałam w „Odrodzeniu“; ale oczywiście wyleli mię prędko... Oj! przepraszam pana, bo tam jakiś srogi gość hałasuje przy stoliku. — Frunęła w inną stronę, a Kietlicz, uśmiechnąwszy się z pewnem politowaniem, dokończył obiadu.

Zdaleka ujrzał kilku znajomych, ale nie chciało mu się wszczynać z nikim rozmowy. Zatęsknił do swego spokojnego kąta, cichego, zamkniętego przed obcymi, gdzie czekała na niego żona. Z ulgą pomyślał o nadchodzącym wspólnym wieczorze. W pamięci przeszukał miejsca, dokądby się oboje udać mogli dla rozrywki. Przecho-
dząc koło cukierni, kupił ulubionych ciastek do herbaty i pęk chryzantem. Lubił, gdy do mufki przypinała kwiaty świeże.

Gdy wszedł do mieszkania, doleciał go z pokoju Halszki gwar licznych głosów niewieścich. Skrzywił się niechętnie i schronił do swego pokoju. Lecz i tu zastał nieład: krzesła były pozabierane, również jak lampa z biurka i przybory do pisania. Paliła się tylko lampka

u sufitu, przy której niesposób było czytać, ani pracować. Gwar krzykliwych, kobiecych głosów przedzierał się tutaj. Wiedział już, że to sesja, „społeczna piła“, która przeciąga się w nieskończoność. Rozwijały się plany na wieczór... Rzucił się na łóżko i usiłował zasnąć. Ale jeden zwłaszcza głos wdzierał się, jak ostry nóż, w mózg zmęczony i drażnił niewypowiedzianie. Gwar wznosił się, niby wzbierająca fala, padały słowa uciszające, fala opadała na chwilę, potem znowu wznosił się wysoko nastrojony i załamujący się niespodzianie czyjś zdarty głos. Wnet namiętnym gwarem wybuchała opozycja, niemal klótnia. Słyszać było czasem niski, a wdzięczny organ Halszki.

Wreszcie uciszyło się na chwilę, ktoś odczytywał głosem podniesionym i dobitnym... protokół.

— Halszka zapomniała zupełnie o tem, że istnieje na świecie — myślał z rozgoryczeniem. — Wie przecież, że o tej porze wracam do domu, że po całym dniu pracy i rozłączenia, chciałbym mieć i ją dla siebie i spokój wkoło.

O tej porze zwykli pijać herbatę. Nic nie było przyzykowane w tym celu, co tem bardziej rozdrażniło Zygmunta. Wstał i udał się sam do kuchni. Lecz tam trafił też na jakiś sejm niewieści. W dodatku, gospodyni mieszkania, która z nim prowadziła stałą wojnę, a obecnie zdawała się temu sejmowi przewodniczyć, zmierzyla go spojrzeniem tak pełnem obrażonej godności, że zaklął z cicha i cofnął się.

— Do licha, gdybym chociaż miał mego Jasia ordynansa, prędkoby zrobił tu porządek! — pomyślał gniewnie.

Wziął czapkę i wyszedł. Padał drobny, zimny deszyk, którego organicznie nie znosił, co zwiększało jego zły humor. Błąkał się czas jakiś bez celu, wreszcie wszedł do cukierni i udał się na górę, gdzie grano w bilard. Grał partję po partji, postanawiając mściwie wrócić do domu jaknajpóźniej. Czyniąc to, nudził się wściekle. Gra go nie interesowała, a żadne inne rozrywki nie pociągały jakoś. W duszy miał głuchy i tępy żal zawodu. Nie chciało mu się jasno go sformułować. Cofał się przed tem z lękiem. Gdy uznał wreszcie, że godzina jest dość późną, aby wzbudzić niepokój u żony, wrócił do domu. Dość hałaśliwie otworzył drzwi i udał się do swego pokoju, wcale nie zaglądając do Halszki. Zaraz też począł się rozbierać, z niezadowoleniem stwierdziwszy, że porządek w jego pokoju nie jest jeszcze przywrócony.

Wkrótce weszła Halszka, ubrana w szlafroczek, z warkoczem na plecach, w pantofelkach na bosych nóżkach. W tym stroju przypominała mu dziewczynkę, co go zwykle rozczulało. Dziś jednak z urazą obrócił głowę.

— Dobry wieczór — powiedziała spokojnym swym głosem, stawiając lampę na biurku. — Czyś już jadł kolację?

— Dziękuję — odburknął.

— Odbyło się dziś u mnie bardzo ciekawe posiedzenie — powiedziała, siadając na kanapce. — Zawiązałyś-

my, koleżanki moje z kursów sanitarnych i ja, nowe stowarzyszenie, mające na celu pracę oświatową i narodowe uświadomienie wśród rekonwalescentów w szpitalach wojskowych. Chcemy wyzyskać ten, często długi, a zawsze nudny, okres przymusowej bezczynności...

— Jakto? Nowe stowarzyszenie? — zawołał, niemal z przestrochaniem, zapominając o urazie.

— A tak. Dotąd nie istniało podobne i to jest wielki błąd.

— I ty może zostaniesz prezeską?

— Nie. Ja będę skarbniczką. Prowadzę dość porządnie rachunki, a naogół między nami niewiele jest amatorów na to nudne zajęcie.

W jakimś kąciuku mózgu Zygmunta przewinęło się wspomnienie: skłopotanie małej Ryśki nieznamościami rachunków. Znikło prędko wśród wzbierającego w nim gniewu.

— Chciej mi powiedzieć, kiedy myślisz znaleźć czas na to nowe zajęcie? — pytał z tłumioną pasją.

— A po skończonych zajęciach biurowych.

— Doskonale. Zatem jeszcze i wieczory. A takie sesje, jak dzisiejsza, często się będą odbywały?

— Dopóki nie znajdziemy sobie lokalu. Moje koleżanki są po większej części w jeszcze gorszych warunkach mieszkaniowych, niż ja.

— A o mnie, oczywiście, ani pomyślałaś wśród tego wszystkiego! — wybuchnął wreszcie.

— O tobie? Czy to ci przeszkadza?

— Przypuśćmy, że nie i że mię to nawet napelnia radością. Radbym tylko raz widzieć, jaką ja w twem życiu i w tym domu gram rolę?

— Zdaje mi się, że ta kwestja dostatecznie była wyjaśniona między nami i to zaraz od początku. Sądziłam, że cię to ucieszy, iż wracam, znowu do pracy dla żołnierzy.

— Ucieszy, oczywiście. Wiesz, że ty jesteś rozbijająca z tym brakiem zrozumienia mężczyzny wogóle, a mojego usposobienia w szczególności. Jabym ucieszył się najbardziej, gdybyś mnie pozostawiła ten cały trud pozadomowy, społeczny i inny, a całą swą energję zużytkowała... dla budowy naszego szczęścia. I czegoż się uśmiechasz?

— Tak mi dziwnem zawsze się wydaje, że ty, taki mądry życiowo, tak umiejący wszystko zrozumieć, do kobiet zawsze jedną miarę stosujesz tylko...

— Może być, że za mało „*moderne*“, ale zato odwieczną, bo przyrodzoną...

— Nie, tylko... haremową... Widzisz, ja się do tego nagiąć nie umiem. A teraz dobranoc, bo jutro oboje musimy wstać wcześniej.

Pocałowała go i odeszła, jasna i spokojna, słychać było, jak w drugim pokoju nuciła cichutko, układając się do snu.

— Gdyby chociaż można było z nią się wyklócić, a potem porwać w objęcia na zgodę... I w tem jest czar... — myślał Zygmunt, przewracając się na łóżku. — I cóż po-

radzę z całą moją impetycznością na jej niewzruszony spokój i tę stanowczość, czy upór... nie do zwalczania... Ech! dalibóg! jakże ja to sobie wszystko inaczej wyobrażam.

X.

Zygmunt Kietlicz wszedł na szerokie schody Pałacu Sztuki, minął pierwszą salę, drugą i zatrzymał się dopiero w trzeciej, gdzie mieściła się wystawa krakowskich malarzy. Tam, od pierwszego spojrzenia znalazł obraz, o który mu chodziło. Nie potrzebował szukać podpisu, poznał pędzel odrazu. Znieruchomiał w kontemplacji. Dusza oddalonej, wygnanki dobrowolnej, stanęła przy nim. Bez słów mówić doń zaczęła o rozpaczny opuszczenia, o nieukołysanej tęsknocie, o zabójczym bólu niedzielonej miłości, odtrąconej, zbytcej. Obraz Dory Markowskiej posiadał taką siłę wymowy, że Zygmuntowi zdawało się, iż słyszy bijące odeń rozpaczne wołanie, przejmujący krzyk bezmiernej tęsknicy. Był to list, którego adres znał on jeden.

Na wybrzeżu morskiem, pustem i jałowem, którego smutek ożywiały tylko płomyki kęp jałowcowych, stała postać kobieca. W beznadziejnem załamaniu rąk, w pochyleniu głowy i opuszczeniu ramion, z potężną siłą wyraziła się beznadziejna żaloba po utraconem szczęściu. Oczy jej gonіły statek, odpływający w beżmierną, morską dal. Statek szedł ku wschodzącej na wi-

dnokręgu zorzy, cały nurzał się w jej blasku. Wybrzeże, wraz z postacią kobiecą pogrążone było w cieniu. Roztocz morza doskonale wyrażała nieskończoność dali, wchłaniającej w siebie statek.

To było wszystko. Wielka prostota środków obok potężnej siły wyrazu. Technika śmiała i opanowana, daleka od ciasnych ram narzuconej mody i szkoły. Z całości biła moc ducha, przykuwająca widza, zniewalająca uwagę.

Kietlicz stał porażony, oszołomiony potęgą bólu, zakłętą w obrazie.

Miał niezachwianą, intuicyjną pewność, że Dora wyraża w ten sposób tragedję własnych przeżyć w stosunku do niego. W beznadziejnie załamanych rękach kobiecej postaci, widział zrozpaczony ruch Dory, wpatrzonej w życiową dal, w którą on odchodził. Nie podejrzewał całego ogromu tej miłości, która słała mu się pod nogi, nakształt ofiarnego kadzidła, ani bolesnego rozdarcia, jakie pozostawił za sobą. Z logiką męską, opartą na własnych przeżyciach miłosnych, rozumował że stosunek ich, nie będąc pierwszym w życiu malarki, nie pozostawi śladów głębszych; a teraz, wobec tej przemijającej, bezgłośnej skargi, ogarniał go żal wprost bezmierny.

Zrozumiał, że przeszedł z młodzieńczą lekkomyślnością, obok bezcennego daru losu, a w duszy tej górnej, śmiałej, przewrażliwej, pozostawił spustoszenie i niezagojone rany.

— Co to jednak za piękna dusza! — posłyszał za sobą cichy, znany głos.

Przywitał się chętnie z Jeśmanem. On jeden może z pośród znanych mu ludzi, nie wydawał mu się w tej chwili natrętny. Stali chwilę obok siebie, w milczącym skupieniu, jakgdyby znajdowali się w świątyni.

— Jak cię ona kochała bez miary — z nabożnem skupieniem przemówił znowu porucznik Jeśman.

— A ja byłem ślepy... i głupi — wybuchnął Kietlicz.

Jeśman spojrział na niego uważnie.

— Takem cię dawno nie widział. Chciałbym z tobą pomówić. Dokąd idziemy?

— Ano, zwyczajem ludzi bezdomnych, chyba do cukierni — gorzko sarknął rotmistrz. — U żony mojej... dziś sesja...

Gdy się znaleźli w zacisznej framudze w małej Ziemiańskiej, Kietlicz przypatrzwszy się Jeśmanowi, zawołał!

— Bój się Boga, jak ty źle wyglądasz! I czegożeś wyrwał się z Zakopanego? Nie dla ciebie ta zgniła tu-tejsza zima.

— Jeśman spuścił oczy, jak zawstydzona panienska.

— A cóż to za mina winowajcy? Jakieś miłosne przestępstwo? Gdzie jest panna Anka?

— Anka jak zawsze w Krakowie, przy swojej szkole — odpowiedział jakby z trudem.

— A ty co tu robisz...?

— A zemnie łotr! — wybuchnął niespodzianą rozpaczą.

— No, no... Pewno przesada, pewno dzieciństwo, z którego robisz tragedję. Wyspowiadaj się poruczniku...

— Ja już się nie żenię. Nie jestem jej godzien... Zdradziłem ją...

W każdym innym wypadku, Kietlicz byłby się roześmiał. Ale zbyt dobrze znał kryształową naturę kolegi, jego przeczuloną wrażliwość. Zdjął go niepokój, usprawiedliwiony zresztą wyglądem młodzieńca. W wychudzonej twarzy wielkie oczy, tak dotąd jasne, płonęły ogniem gorączkowym. Choroba uczyniła tak wielkie spuścienie, że domyślać się trzeba było jakichś ubocznych, wprost zabójczych przyczyn. Kietlicz, który rozciął wszelkie kwestje śmiało cięciem, spytał bystro:

— Słuchaj, nie zaprzeczaj... Opętała cię ta niesamowita Węgierka, czy Rumunka, ta Eusapja Polladino...

— Kietlicz!

— A co, trafiłem w setno! O źle jest! Wolalbym, aby cię opętała jakaś przeciętna kokietka, niż taka wyrefinowana istota, mająca do czynienia z potęgami zaświatowemi. To najgorsze, co cię spotkać mogło. A zatem zerwałeś z panną Anką, uciekłeś z Zakopanego, pewno przestałeś także pisać...

Jeśman milczał, nerwowo krusząc w palcach jakiś biszkopt. Młoda, szczerza twarz mieniła się całą gamą wzruszeń, od gniewu do skruchy. Wreszcie jego miękka natura wzięła górę i marzące oczy napęłniły się łzami.

— Tyś mądry, jak zawsze, Kietlicz, czytasz w mej duszy. Prawda, prawda... Zerwałem z Anką, przestałem pisać, czuję się podły, czuję się nieszczęśliwy, ale nie mogę, nie mogę wyrwać się z pod tego zaklęcia... To, widzisz, kobieta zupełnie niepowszednia... to zjawisko... ponad wszelkie określenie, ponad normę...

— Gdzie ona jest? W Warszawie?

— Tak. Czy chciałbyś ją zobaczyć?

— Chciałbym — odpowiedział Kietlicz, który z właściwą sobie energją postanowił działać. — Czy urządza seanse?

— Bardzo często.

— U siebie, czy na mieście?

— Zwykle bywa zaangażowana do kogoś. Teraz najczęściej do Knollów. On dostał istnej manji. Nie przedsięwzię żadnej sprawy, nie poradziwszy się duchów, nawet w kwestjach finansowych.

— A ty zawsze towarzyszysz pani Illicz?

— To są rzeczy tak szalenie ciekawe... Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jakie wspaniałe, nowe horyzonty odkrywają się przed nami...

— Kto przychodzi do Knollów?

— Przychodzą panie, znane ci z Zakopanego. Pani Mniszewska, pani Granicka, znajomi tych pań... Czy chciałbyś się tam dostać?

— Tak jest. Przypuszczam, że Knollowie pamiętają mnie. Zatelefonuję do nich. Chcę cię zobaczyć na tem tle i zdać sobie sprawę z sytuacji.

— Tyś przyjaciel prawdziwy, wiem o tem. Ale nic dla mnie zrobić nie możesz. Jestem wprost pod władzą jakiejś siły fatalistycznej. Nie mówmy lepiej o tem. Chciałbym o tobie coś wiedzieć, ogrzać się przy blasku twego szczęścia. Tyś poszedł drogą pewną i normalną. Masz żonę wymarzoną...

— Tak jest. Halszce zarzucić nic nie można...

— Dlaczego mówisz to tak dziwnie? Czemuś powiedział przed chwilą o sobie, że jesteś bezdomny?

— Bo uważasz, żonę mam, a ogniska domowego nie posiadam. I nie wiem doprawdy, czy to moja wina, czy jej, czy naszych warunków życia, lecz niemniej jest to fakt. Jesteśmy towarzyszami... płci odmiennej, żyjemy raczej obok siebie, niżli ze sobą i dla siebie. Każde z nas ma pozatem swój świat odrębny, swoje cele. Są chwile, w których nawzajem jesteśmy pożądanymi, są inne, w których raczej ciężymy sobie. Jednym słowem życie równoległe i niezależne, a niestopione w jedno.

— Żle ci z tem?

— Żle. Inne miałem o małżeństwie pojęcie i inne wymagania.

— Czyż zmienić tego nie możesz, ty taki energiczny?

— Nie. Wobec psychiki mej żony, jestem absolutnie bezsilny. Walczyć potrafię, lecz tu nie mam z czem.

— Przecie kocha cię?

— Tak, jakąś cząstkę swej duszy, tą, którą przegna-

cza miłości. Ma poza mną tysiące absorbujących ją spraw, pracę swoją, ideę.

— Popsuła cię pani Dora.

— Być może. W jej miłości był ten poryw oddania się, zarówno fizycznie jak i duchowo, który jest rozkoszą najwyższą dla obojga. Miała sztukę, miała dziecko, a jednak, dziś dopiero to zrozumiałem, ja byłem naprawdę treścią jej życia. Lekceważyłem to sobie. Szukałem w małżeństwie urzeczywistnienia jakichś z góry powziętych teoryj. Takie rzeczy się niszczą.

Milczeli obaj przez chwilę.

— Życie jest najtrudniejszą ze sztuk — przemówił wreszcie Jeśman, wpatrzony przed siebie zadumanemi oczyma, w których zagasła dawna młodzieńcza radość.

— Tego nie powiem. Składa się ono z szeregu omyłek, to prawda... Ale słuchaj, ja ci się zmarnować nie dam. Nie tylko do siebie należysz. Masz talent z Bożej łaski. Życie twoje powinno być służbą talentowi. Takie dary nie oddają się na zabawkę kobiecie.

— Gdybyś wiedział, jaka w tej kobiecie jest potęga?

— Radbym się z nią zmierzyć! — powiedział Kietlicz, z błyskiem swawolnym w oczach.

XI.

Jakoś wkrótce po spotkaniu z Jeśmanem, Kietlicz, rozmówiwszy się przedtem telefonicznie z Knollami, wybrał się do nich... na seans z Verą Illicz. Żonie nie proponował, aby mu towarzyszyła: całą tę gromadę pań uważał za nieco dwuznaczną i nie życzył sobie widzieć między niemi Halszkę. Postanowił obserwować, zbadać niebezpieczną Verę Illicz, obmyśleć plan działania, aby usunąć z pod jej wpływu Jeśmana, do którego czuł niemal przywiązanie. Przypuszczał że nie będzie to rzeczą łatwą, lecz trudności zwykły go tylko podniecać.

Przekonany był, że Jeśmana dnie są policzone, o ile nadal szarpać się będzie w więzach namiętności. Knollowie mieszkali w okolicy placu Bankowego, we własnym, starym, wygodnym domu, niepozornym z zewnątrz, a urządzoneym z iście pałacowym komfortem, a raczej z tą, dobrze pojętą, wygodą życia, spotykaną u niektórych mieszczańskich, zdawna zamożnych rodzin.

Szerokie, dębowe schody wiodły z obszernej sieni do całego szeregu salonów, zastawionych antykami. Seans odbywał się w obszernym gabinecie, z cięż-

kiemi meblami, krytymi skórą, miękkimi i przepaścistymi. Okna były starannie zawieszzone, niewielki, mahoniowy stół stał przygotowany pośrodku pokoju.

Kietlicz, punktualny jako wojskowy, stawił się pierwszy. Przywitani go oboje Knollowie. Rok ubiegły musiał być burzliwy, gdyż na obojgu wyrzył swe ślady. Wyglądali na trawionych niepokojem ukrytych namiętności, gorączką zabójczych przeżyć. Ona wychudła jeszcze, wskutek czego oczy jej wydawały się nadmiernie duże i oświetlały twarz całą blaskiem namiętym, on miał cerę żółtą chorobliwie rozdrażnionego człowieka. Zaraz też, po kilku zdawkowych zdaniach pierwszego powitania, mówić począł o seansie, z zajęciem manjaka.

— Ta Vera Illicz jest naprawdę nadzwyczajna. My, widzi pan, w małym swym, ścisłym kółku, nie zajmujemy się okultystycznymi badaniami, materjalizacją i t. p... Pozostawiamy to uczonym i specjalistom. My sobie najzwyczajniej konserwujemy z Jakóblem; to duch pani Very, za pośrednictwem stolika.

— Baby musiały osnuć tego Krezusa bajeczną siecią intryg — pomyślał Kietlicz. — Zapowiada się to wszystko dość ciekawie.

Wśród potoku szczebiotliwie dzwoniących słów, weszła pani Mniszewska w towarzystwie sztywnego oficera Francuza. Na widok Kietlicza, wydała cały szereg wykrzykników, idących *crescendo*. Ani na chwilę nie wątpiła, że sprowadza go spóźniony żal i wnet zatriumfowała w cichości. Zakłopotana się jednak natych-

miast, jak „René“ zapatrywać się będzie na rywala. Czy nie chwyci się tego pozoru, aby wycofać się zgrabnie, co od pewnego czasu zdawał się chcieć uczynić? A René był tak wyrafinowany, taki „*amusant*“; Francuzi są „*en vogue*“! Nic bardziej szykownego, niż taki „*attaché militaire*“ w eleganckim mundurze... przy boku pięknej pani! Ufała jednak w swój spryt i szczęśliwą gwiazdę.

Po chwili weszła nowa para: pani Granicka i Tryling, wspólnik Knolla, właściciel wielkiego handlowego domu. Był to tęgi, szpakowaty mężczyzna, z wesołemi, bystremi oczami, uśmiechający się często swawolnym, dobrodusznym uśmiechem. Zbyt skwapliwie tłumaczyć począł, że pani Granicka, jak zawsze niezmordowana, aż do tej chwili pracowała w jego biurze, z czego skorzystał, aby ją przywieźć samochodem. Obecni przyjęli to tłumaczenie z odpowiednio pobłażliwemi uśmiechami. Kietlicz słyszał już przedtem niejasne opowiadania o tem, że piękna pani rzuciła posadę w ministerjum i objęła wysoko płatne stanowisko w domu handlowym finansowego potentata. Mąż jej bardziej niż kiedykolwiek grał w karty i rzucał pieniądze pełnemi garściami...

Pani Granicka, jeszcze bardziej nieprzystępna, odosobniona w atmosferze tajemnych, intensywnych przeżyć, spoglądała po wszystkich z wyrazem dumnego znużenia, pogardliwej obojętności. Nadzwyczajna jej uroda, podniesiona wielką wykwintnością stroju, wprost osza-

łamała, narówni z tą tragiczną tajemniczością, wiejącą od niej.

— Musi być bardzo nieszczęśliwa w głębi duszy — pomyślał Kietlicz. — Dziwną jest gwiazda przeznaczeń tej kobiety, posłyszemy jeszcze o niej.

Knoll i Tryling niecierpliwili się niepunktualnością medjum. Obaj mieli cały szereg pytań do zadania duchowi, w sprawach niecierpiących zwłoki. Trzeźwe ich umysły godziły w dziwaczny sposób naiwną wiarę i praktyczne jej zastosowanie do spraw bieżących. Całe towarzystwo z wyjątkiem Kietlicza zdawało się być pod wpływem zbiorowej, czy może wzajemnej sugestji, gdy tylko zaczęto mówić o Verze Illicz i jej „duchu“.

Kietlicz doznał niemiłego wrażenia, gdy obok wchodzącej wreszcie pani Very, ujrzał Jeśmana. Zatargał nim gniew, na widok tego, jak mniemał, poniżenia kolegi. Od tej chwili, całą baczność, wyszkoloną w wojsku, spostrzegawczość i uwagę skierował na niepokojącą panią.

Odrązu doszedł do wniosku, że Jeśman jest przez nią najzupełniej owładnięty, aż do zaniku woli. Był to stosunek dziwaczny, w którym było mniej miłości lub żądz, niż ujarzmienia z jednej strony, a z drugiej nieco wzgardliwego triumfu.

Wszyscy zajmowali już miejsca około stolika, gdy wpadła zdyszana panna Łapicka, przepraszając za spóźnienie, wywołane długim posiedzeniem u Żmygrydera. Knoll szorstko coś odburknął o wiecznem zamieszaniu,

spowodowanem przez „baby“. Kietlicz, na swe żądanie umieszczony koło Very Illicz, bacznie na wszystko zważał.

Nagle spostrzegł, że panna Łapicka, witając się, w pośpiechu i przynaglana gderaniem szwagra, upuściła małą karteczkę, którą widocznie zamierzała oddać Verze Illicz. Kietlicz natychmiast postawił na niej nogę; potem, gdy już zasiedli, podniósł ją najspokojniej i zanim zgaszono światła, zdążył przeczytać:

„Akcje musi bezwzględnie sprzedać.

Zagranicę wyjechać jaknajprędzej.

Doktora K. zmienić na doktora R.

Z biura wydalić M.“.

Uśmiechnął się i schował kartę do kieszeni. Miał w rękę broń i był pewny siebie.

Rozpoczął się seans. Towarzystwo było widocznie dobrze zgrane, duch zjawił się prędko. Rozpoczęła się rozmowa, szereg pytań, na które „Jakób“ odpowiadał wyczerpująco. Udzielał rad z dziedziny życia wyłącznie praktycznego, rozprawiał o akcjach, krytykował decyzje lekarskie, doradzał lub odradzał wykonanie różnych zamierzonych projektów. Z wyjątkiem może pani Mniszewskiej, która w atmosferze seansu, szukała podniecających, erotycznych wrażeń, i Jeśmana, dziecinnie skupionego, oraz sceptycznie czuwającego Kietlicza, nad resztą towarzystwa zawisła ciężka, denerwująca atmosfera namiętnego niepokoju. Jakieś sprawy wielkiej wagi ważyły się w powietrzu. Niektóre odpowiedzi wywoły-

wały wykrzykniki panów, lub nerwowe śmieszki pań. Vera Illicz zdawała się spać głęboko.

Kietlicz wyczekiwał, aż padną pytania, na które miał odpowiedzi w kieszeni. Wymówił je Knoll. Odpowiedź wypadła wahająco, niepewnie i nie zadowolniła nikogo. Zygmunt wybornie odczuwał nerwowy niepokój siedzącej obok niego panny Łapickiej.

Dużo pytań zadawał Tryling. Wszystkie były natury realnej, a odpowiedzi przyjmował z wiarą, niemal wrzuszającą. Na jego usilne prośby zadała kilka pytań pani Granicka, ale z niechęcią i przymusem.

Frywolny Francuz rozweselał zebranie swawolą miłego łobuza, kpiącego potroszę ze wszystkiego. Pani Mniszewska wybuchała śmiechem rozkosznym, wnet tłumionym, i pocichu karciała uroczego figlarza. Zainteresowanie Kietlicza seansem sprawiło zawód. Znała jego bezwzględną szczerłość i zrozumiała, że nie udaje i nie przybył tu, aby jej szukać. Zresztą pocieszyła się prędko myślą, że z młodego żonkosia słaba pociecha i tem usilniej zwróciła całą baterję zalotności w stronę swego „Réné“.

W czasie przerwy, Vera Illicz, na którą spoglądali wszyscy z przesądną niemal trwogą, siedziała jak zwykle odosobniona. Nikt nie odważył się mącić jej od poczynku. Otoczona chmurą dymu papierosowego, z filiżanką czarnej kawy w ręku, wyglądała niedostępnie i tajemniczo. Kietlicz zbliżył się do niej, nie bez złośliwego zadowolenia.

— Mam pani przedstawić pewną propozycję — przemówił jak zwykle bez wstępu, zuchwale patrząc jej w oczy.

— Ciekawam!... — odrzuciła niedbale.

— Czy nie chciałaby pani opuścić Warszawy, nie pozostawiając nikomu adresu, i powrócić do ojczyzny? Ułatwiłbym...

Bez żadnego zdziwienia, strząsając popiół do popielniczki, spytała.

— Panu chodzi pewno o Jeśmana?

— Zgadła jasnowidząca pani — odpowiedział z ukłonem.

— On i tak wkrótce umrze. Niech mu pan te ostatnie dni życia pozwoli spędzić, jak mu się podoba. Biedny chłopiec dotąd bodaj niewiele w życiu użył — odpowiedziała ze spokojnym cynizmem, otaczając się kłębamii dymu papierosa.

— Cóż kiedy mam właśnie przekonanie, że on umrze istotnie, ale wówczas, gdy nadal pozostanie w kontakcie z panią i pod jej wpływem. W przeciwnym razie, można go jeszcze ocalić...

— Więc pan jednak wierzy w jakiś mój wpływ, czy władzę? Przecie pan jest sceptyk i zresztą zupełny profan...

— Wierzę bezwzględnie w pani siłę hipnotyczną i w zdolności medjalne, pomimo że istotnie jestem i profanem i sceptykiem. Nie podejmuję się wyjaśniać zakresu tych zdolności i sił; jestem jednak przekonany,

że istnieją i to niebylejakie. Używa ich pani na złe, oddaje na usługi intrygom, finansowym czy romansowym...

— W czym to panu przeszkadza? — spytała wyniośle.

— Absolutnie w niczem osobiście. Nie wtrącam się w cudze sprawy, nie jestem bocianem. Nie biorę też w obronę interesów tych dwóch ramolciów, wbrew interesom pięknych pań. Ale nie podoba mi się, aby mój kolega mógł być posądzony o jakikolwiek bądź współudział w tego rodzaju intrygach.

— Pan jest doprawdy niezwykle zuchwały, panie rotmistrzu.

— Wobec pań... jestem tylko zuchwały w miłości. W chwili obecnej jestem pewny siebie poprostu. Mam w ręku atut.

— Ciekawam... — sarknęła pogardliwie.

— Wzamian za spełnienie prośby mej co do wyjazdu, oddam pani tę karteczkę, nie uczyniwszy z niej użytku.

Pokazał jej kartkę, skonfiskowaną pannie Łapickiej. Vera Illicz rzuciła na nią okiem i nie czytała nawet.

— Nasz przyjaciel Knoll jest hojny i dobroduszny, ale nie lubi być wyprowadzony w pole. Gdyby zwąchał, że przeciwko niemu, a zapewne i przeciw współnikowi, ukartowana jest cała kabała niewieścia, to wpadłby w straszny gniew. A w środkach on wówczas nie przebiera i posiada ich dużo do swej dyspozycji. Byłby

skandal rozgłośny, nie leżący w pani interesie. Prosty wyjazd z Warszawy zapobiegłby temu.

— Niech pan nawet na chwilę nie przypuszcza, że mi chodzi o pozostanie tutaj! — powiedziała ze wzgardliwym ruchem ramion, wypijając do dna kieliszek likieru, stojący przed nią. — A ten pana pupil, dzieciak sentymentalny, oddawna mię znudził. Nie odpędzam go od siebie... przez prostą litość!

— Wszystko się zatem doskonale składa. Wraz z wyrazami głębokiej wdzięczności za spełnioną prośbę, będę miał zaszczyt na pożegnanie ofiarować pani tę karteczkę.

— Owszem. Niech mi ją pan przyniesie za trzy dni. Pozwalam na to, panie rotmistrzu...

— Przyniosę ją na oznaczoną godzinę na kolej, wraz z prawem podróżowania w oddzielnym przedziale, które wyrobię dla pani, odpowiedział, składając jej głęboki ukłon.

— Na kolej? Jak się panu podoba, małżonku wzorowy! Putyfarą nie jestem. Wiem, że do tej pory pan był wierny żonie, lecz to się niedługo skończy, przekona się pan niebawem.

— Miałem przyjemność słyszeć już raz z ust pani przepowiednię... dość groźną. Mam nadzieję kłam jej zadać, również jak i dzisiejszej.

— Panie rotmistrzu! — wołał niecierpliwie Knoll — ten seans na uboczu zbyt się przeciąga! Porucznik aż drży z zazdrości. A my mamy dziś jeszcze o tyłu ważnych

sprawach pokonferować z Jakóbem. Jutro puszczam się na ryzykowną giełdową spekulację, potrzeba mi rad, bezinteresownych i niepodejrzanych!

XII.

— Jakto Halszko, chcesz wyjechać na tak długo?...

— Cóż robić? Otwarcie nowego koła „Odrodzenia“ na prowincji głuchej, ogołoconej ze wszystkiego przez wojnę, to praca olbrzymia. Jeśli dokonam tego w sześć tygodni, to i tak będę uważała, że to sztuka prawdziwa.

— Czy nie może jechać kto inny?

— Zebranie walne mnie wybrało jednogłośnie. A przytem to mi się uśmiecha. Pomyśl, Zyg, że to są nasze kresy biedne, takie opuszczone, tak traktowane po macoszemu i tyle, tyle mające potrzeb! Żal mi ogromnie, że cię zostawię samego, ale doprawdy, że kilka tygodni czasu poświęcić tak ważnej sprawie, uważam za obowiązek i nagłący i miły. Jestem pewna, że i ty znajdujesz to samo.

— Mylisz się. Uważam, że zarząd mógłby wysyłać na takie placówki kobiety niezamężne, których nie brak przecie.

— Gdyby ciebie wysyłało Ministerstwo w jakiej misji, to nie mogłabym protestować, prawda? W czym jest różnica?

— Różnica jest wielka. Nie o wszczynanie dysput

chodzi mi teraz. Zapytuję cię wprost, czy nie mogłabyś wyrzec się całej tej wyprawy... dla mnie?

— Czy naprawdę potrzebna ci teraz moja obecność?

— Przypuśćmy że tak? Przypuśćmy także, iż to kaprys prosty z mej strony. Czy nie będziesz się z nim liczyć?

Halszka wybuchnęła śmiechem i pocałowała go w czoło.

— Ty duży dzieciaku w mundurze! Oczywiście że zwykły kaprys, przeciwstawiony poważnej sprawie...

— Halszko, niema nic rozkoszniejszego, a czasem i mądrzejszego, nad nielogiczność miłości. Czy nie możemy sobie na nią pozwolić?

— Zdaje się, że mię demoralizujesz, panie małżonku!

— Dziecino, bądź raz nierozsądną i nielogiczną i niespołeczną. Kopnij nóżką to wszystko, co nie jest naszą miłością...

— A potem?

— Cóż potem. Będziemy się dalej kochali.

— Nie. Taka miłość z kopnięciem wszystkiego, jak mówisz, ani dla ciebie, ani dla mnie. Nasze życie musi być wszechstronne i pełne, a nie chorobliwie wybujałe.

— Więc, pojedziesz, Halszko?

— Jakiś ty czasem uparty, Zyg!

— Chyba mniej od ciebie.

— Ja się nigdy bez poważnych racji nie upieram. Nie rządę się fantazjami.

— I o co ja walczę? — spytał siebie Zygmunt.

Ogarnęła go głęboka fala zniechęcenia.

— Rób sobie, jak uważasz, moja droga — powiedział, otwierając świeży numer gazety.

I Halszka pojechała do Grodna. Zygmunt zaciął się i ani słówkiem jej nie wstrzymywał.

Gdy ucichł zamęt wyjazdu, gdy odprowadził żonę na kolej i wrócił do swoich dwóch pokoików, ogarnęło go uczucie pustki. Następných dni wzmogło się ono jeszcze. Po skończonej pracy biurowej Zygmunt z niechęcią leniwą myślał o tem, w jaki sposób resztę dnia zappełnić. Stosunków towarzyskich, ze względu na mieszkaniowe braki, zawiązali bardzo mało. Koledzy dawni rozproszyli się po świecie, nowi biurowi nie przypadali mu do serca. Najlepszy przyjaciel, Jeśman, domyślił się, komu nagły wyjazd Very Illicz zawdzięczać należy i urażony, zraniony, odsunął się od przyjaciela i zamknął w ponurem odosobnieniu. W tem osamotnieniu, wspomnienie Dory narzucało się z przemożną siłą Kietliczowi. Lecz nie śmiał nawet odezwać się do niej. Najprzód dlatego, że znając ją, nie wątpił ani na chwilę, iż niezłomna była jej wola usunięcia się z jego drogi. Potem, czułby bolesny, wstyd, gdyby ze swą cudowną przenikliwością serca, odczuła zawód w jego życiu. Z tęsknotą bezmierną myślał o tem żywym ognisku ciepła i słodczy, gorącej rozkoszy i mądrej dobroci, jakim w życiu jego była Dora. Lecz myślał, jak o pieśni, już na zawsze przebrzmiałej.

Aby zabić nudę i pustkę, Kietlicz rzucił się w wir hulanki, jak to mu się czasem zdarzało za kawalerskich czasów. Po tygodniu miał dość: czuł wstręt do siebie, a obrzydzenie do całego świata. Natury nie miał hula-szczej; raczej tylko... bujną. Bezmyślne rozrywki w gorszym gatunku nużyły go prędko i napępniały nie-smakiem. W marnem usposobieniu ducha, z przykrym „katzenjamerem“, udał się do „Kresów“, w nadzieji, że spotka tam kogo z dawnych znajomych ze wsi. Zaledwo usiadł przy ulubionym stoliku koło okna, zjawiła się przed nim panna Ryśka Lubowicka, w chłopięcy sposób wstrząsając ciemnymi puklami, okalającymi jej małą główkę.

— Czem panu służyć można? — spytała urzędowo, sznurując wydatne, podobne do dojrzalej wiśni usteczka i z wdziękiem kręcąc w palcach róg eleganckiego fartuszka. Potem wybuchnęła swym śmiechem drażniącym i jakby rozczarowanym i wyciągnęła rączkę na powitanie.

Powitał ją radośnem:

— Jakże dawno pani nie widziałem!

— Nie było mię wcale w „Kresach“. Mama na spółkę z panią Okuszkową otworzyła rodzaj komisowego sklepu — powiedziała, zasiadając naprzeciw niego. — Chciała, abym jej pomagała. Ale ze mnie taka kupcowa, że pan skonałby ze śmiechu. Nie targowałam się nigdy o cenę, tylko o ile mi się kto podobał, to kupowałam i sprzedawałam za taką sumę, jaką mi sam powiedział, a o ile nie, to nawet wcale rozmawiać nie chciałam. Przychodził tam

jeden wojskowy, przepadam za wojskowymi, taki śliczny chłopiec, że mu wszystko oddawałam za darmo... Oj! przepraszam, tam robią gwałt przy stoliku! Lece, a potem przyniosę panu obiad wedle własnego wyboru! Niech już pan zda się na mnie...

Pobiegła i wróciła wkrótce, niosąc zreżniętą talerz zupy dymiącej. Zawirowała między gęsto rozstawionymi stolikami przedziwnie zwinnie, tak jakby od urodzenia uczyła się kręcić po przepelnionej sali restauracyjnej: Kietlicz z przyjemnością gonił ją oczyma w czasie jej wędrówek między stolikami: posiadała w najwyższym stopniu ten samorodny wdzięk Ukrainek i Podolanek, na który składa się olbrzymia moc kobiecości, w połączeniu z ognistym temperamentem, a wszystko razem podszyte odwieczną kulturą i wrodzoną rasową wytwornością. Ryśka oprócz tego posiadała odrębny czar bardzo pieszczonego dziecka, któremu wszystko wolno i które w bardzo ładny sposób pozwala sobie na swobodę, u innych niedopuszczalną. Przyfruwała do stolika Kietlicza i odbiegała znowu do innego. Obiad okazał się zupełnie w guście rotmistrza, dawno mu nie smakował żaden do tego stopnia.

— Jakim sposobem odgadła pani moje upodobania?— spytał, uśmiechnięty i udobruchany, gdy mu przyniosła deser.

— Od czegoż jestem kelnerką... i to inteligentną? — zaśmiała się. — Nabrałam wielkiej wprawy w dogadaniu gościom i uprzedzaniu ich życzeń. Z gustów męskich

sądę o ich psychologii. O panu powiedziałam sobie odrazu, że trzeba mu wybrać potrawy pożywne, intensywne, ale i wykwintne; przytem dużo przypraw i dodatków, prawda?

— Doskonale pani odgadła. Czy regulamin pozwala na to, aby pani wypila ze mną czarną kawę?

— Regulamin same tworzymy, bo jesteśmy przecie i współwłaścicielkami. Zaraz przyjdę do pana i odpocznę trochę, bo już się zaczyna przerzedzać. Obiady skończone.

Wkrótce też usiadła naprzeciwko niego i milczała chwilę, widocznie zmęczona. Jej dziwne, śliczne usta, bezwiednie namięte, nawet stulone w milczeniu, zdawały się pieścić lub drzeć niewymówionemi, gorącemi słowy. W oczach jasno-piwnych, pełnych złotych światełek, czaiła się zadumana tęsknota dziecka stepów i wolnych przestrzeni.

Kietlicz ze współczuciem spoglądał na nią. W jakże odmiennych znał ją warunkach! Była rozpieszczoną nad wszelką miarę, jedyną dziedziczką wielkiej fortuny; z całym impetem pierwszej młodości i bujnością natury kresowej bawiła się, flirtowała, bałamuciła. Wkoło niej była iskrząca atmosfera śmiechu, śpiewu, tańca: przewijała się wśród ludzi, jak migotliwy płomyk, rozdzwaniała ciszę starego dworu bogatą kaskadą młodzieńczego głosu. Zachwycone oczy biegly za kapryśnemi ruchami jej drobnej postaci. Wołano na nią najbardziej pieszczonemi nazwami: Rusalko, Królewno,

Iskierko, Wiosenko, Szczebiotko... W wyszukiwaniu nazw coraz nowych celował zwłaszcza pan Konstanty Kietlicz, opiekun dziewczyny po śmierci jej ojca. W pamięci Zygmunta pozostała jako różowy obłoczek, rozdzwoniony śmiechem, pędzący z miejsca na miejsce za lada powiewem, rytmem tanecznym lub w takt cwałującego rumaka. Nie myślał o niej jako o kobiecie. I oto odnajdował ją w szeregu kobiet, pracujących dla bytu; była w niej teraz przymieszka pewnej goryczy, jakaś nuta melancholijna, niepozbawiona dużego wdzięku, pewne zgaszenie czy znużenie. Lecz znać było, że tylko słońca promyk, trochę odpowiedniej atmosfery, a gotowa rozdzwonić śmiechem, zaśnić, zamigotać na nowo.

— Jakże tam było z tym sklepem i z pani talentem kupieckim? — zagadnął ją Zygmunt, rozbawiony samem tem zestawieniem.

Nalała mu ładnym ruchem salonowym czarnej kawy do filiżanki, swoją podniosła do ust i odpowiedziała:

— Ach! gdyby pan wiedział, ile w takim sklepie komisowym ukrytego smutku! Wdycha się tam atmosferę tragedji, niby zwyczajny kurz. Przynoszą tam ludzie, przeważnie nasi, takie śliczne, bezcenne pamiątki rodzinne, co to od wieków stały sobie lub leżały po starych dworach; potem, w strasznej panice ucieczki, gdzieś rzucone były w głąb kufra, teraz wystawione są na sprzedaż... dla chleba! Oddają je ludzie ze łzami, z rozdartem sercem: kupuje to bezduszny paskarz lub

nouveau riche, targuje się bezczelnie, a za drzwiami winszuję sobie cichaczem świetnej okazji! I taka cudna, arystokratyczna, artystyczna rzecz, o którejby można tomy pisać... lub zamaryżować nad nią, przechodzi w pospolite, chciwe łapy dorobkiewicza! O! gdyby pan wiedział, jaki ja wstręt do nich czuję! Gdy się który tu do nas zabłąka, to otrulabym go chętnie, zamiast tak ugościć jak pana!

Kietlicz spoglądał z zainteresowaniem w mieniącą się silnie odczuwającymi wrażeniami, w pół dzieciinną, a jednak bardzo już kobiecą twarz.

— Wobec tego wszystkiego, wołała pani wrócić tutaj i dalej roznosić obiady?

— A tak. Przynajmniej mam szanse spotykania różnych niepoczciwych starych znajomych, których inaczej nie widywałamby nigdy...

Spojrzała na niego tęsknemi swemi oczami, a roz-tulone pąsowe usteczka zdawały się wymawiać niedo-słyszalne, pieścziotliwe słowo.

— Niech pan powie, czy doczekam się tego szczęścia, aby powitać tu kiedy stryja pana, a mego opiekuńcia! Boże! jakże tęsknię do niego. Ile razy wejdzie jaki starszy pan o wyglądzie patrycjusza, tyle razy serce mi zabije... Ale gdzież tam! wszystko to karykatury w porównaniu do pana Konstantego! Nie ma pan pojęcia, jak ja się w nim zapamiętała kochałam za swoich podlotkowskich czasów! Wyjeżdżał zwykle od nas raniutko, aby tegoż dnia stanąć u siebie. Otóż ja wstawałam

o świecie, zakradałam się do stajni... i cały powóz ubierałam mu kwiatami; jak na corso najpiękniejsze! Niszczyłam ogród, ogołacałam klomby, grzędy... A potem chowałam się ze wstydu w zbożu lub lesie... i daremno mnie wołali...

— I któżby, to pomyślał, że pani tak ładnie umie się kochać...

Spojrzała mu w oczy przeciągle i powłóczyście; usta jej zadrżały w milczeniu uśmiechem niemal bolesnym.

— Zdaje mi się, że ja to jedno w życiu potrafię — powiedziała po chwili cichutko, jakby ze zdziwieniem. — Pozatem, jestem taka do niczego, że aż mi wstyd! I żadne przejścia niczego mnie nie nauczyły!

— To i dobrze. Niech pani pozostanie sobą, ekstraktem kobiecości, Płomykiem, Promieniem, i jak tam panią jeszcze nazywano...

— Wszystkiem, ale nie człowiekiem, nieprawdaż? Dobrze to panu ironizować, gdy pan już wybrał kobietę mądrą, społeczną, dzielną... Nadzwyczajna była ta panna Halszka Tańska! Gdy pracowałam razem w „Odrodzeniu“, to się jej aż bałam. Taka się czułam mała przy niej, dziecinna, śmieszna, nic warta...

Zygmunt przestał się uśmiechać. Zamyślił się: przed oczyma duszy stanęła... żona. Uczuł głuchy, dojmujący żal, którego źródła nie umiał określić. Na chwilę poczuł się nieswojo, w tej restauracyjnej sali, po której kręciła się służba, porządkując stoliki, z tą rozszczebiotaną dziewczyną przed sobą. Z oddali wionęła

ku niemu dostojna powaga Halszki. Panna Ryśka zda-
wała się czytać w jego myślach.

— Niemiło tu i nieprzytulnie, zwłaszcza o tej po-
rze, gdy sala pustoszeje, a pozostaje tylko nieład,
dym z papierosów, zapach potraw... Nie na takim tle
spotykaliśmy się ongiś, rotmistrzu... A takbym chciała
z panem porozmawiać o dawnych czasach, o nowych
także... Ale gdzie?...

— Gdzie pani sobie życzy. Jestem teraz swobodny,
mam dużo czasu do rozporządzenia, bo żona moja z ra-
mienia „Odrodzenia“ wyjechała na kresy...

— A więc słomiane wdowieństwo...

— Oczywiście natychmiast złożę paniom swoje usza-
nowanie...

— Ależ my mamy opłakane warunki mieszkaniowe!
Wspólny ciasny lokal z ciocią Sewerką i jej dzieciarnią!
Pisk, nieład... Ja uciekam stamtąd, jak mogę. A i mama
nie bardzo lubi przyjmować wizyty na tem tle. Nie
przywykła. Zaproponuję panu co innego. Ale przede-
wszystkiem, czy chce mi pan zrobić przyjemność?

Oparła swą główkę o ruchliwych puklach na obu
rączkach i spoglądała mu prosto w oczy źrenicami, peł-
nemi złotych iskierek.

— Oczywiście — zgodził się ochno. — Co dziecku
może zrobić przyjemność?

— Wyrwanie się stąd... na powietrze, na prze-
strzeń, aby odetchnąć wiosną! Bo czy wie pan, że to wio-
sna? Któżby się domyślił w tej sali zadymionej! W Ję-

drychowcach kwitną wiśniowe gaje, nad rzeką w parku słowiki koncert... dają...

Przedziwnie rozświetnione jej oczy pobiegły w dal, urzeczony marzeniem przemożnym.

— Dokądby pani chciała pojechać? — szepnął, poruszony do głębi wspomnieniami uroczej wiosny rodzinnych stron.

— Dokąd? Tu jest wszędzie brzydko i wszędzie pełno ludzi, wstrętnego, hałaśliwego tłumu mieszczuchów.

Chciałabym poprostu płynąć Wisłą wieczorem... Już chodzą spacerowe statki.

— A mama nicby nie miała przeciw oddaniu pani pod moją opiekę? — spytał, uśmiechając się.

— Nie. Mama wogóle uznaje tylko dawnych znajomych, „ze swoich stron“. A zresztą — powiedziała, dumnie wstrząsając lokami, — odkąd pracuję na siebie, uważam się za zupełnie samodzielną.

— Bardzo słusznie. A zatem służę pani. Wieczory mam zawsze wolne i niebardzo wiem teraz, co man i z niemi robić. Proszę mną rozporządzać.

— Ja także o tej porze już wolna jestem w te dni, gdy nie mam dyżuru przy kolacjach. Naprzykład pojutrze...

— Doskonale. A zatem pojutrze przychodzę tu na obiad, a potem porywam panią na gonitwę za wiosną. Oczywiście, obstalowuję przedtem pogodę...

— Wierzę, że pana dzielność nawet i pogodzie potrafi rozkazywać — powiedziała, tuląc potulnie głowę w ra-

miona i błyskając roześmianemi oczyma. — Bo ja się pana zawsze bałam...

— Szalenie trudno wyobrazić sobie panią... spłoszoną...

— Oj! jaki z pana ślepy człowiek! Przecie ja przed panem... drzę...

— A to wcale zajmująca dla mnie wiadomość... i nieoczekiwana...

— A tak. Bo mi pan imponuje. Pomówimy o tem... pojutrze. Niech pan nie będzie bardzo olimpijski. Proszę pamiętać, że pan ma do czynienia z biedną, małą, głupią dziewczynką, która się boi...

— Dobrze. Postaram się oswoić małą dziewczynkę.

Spoglądał rozbawiony i mile pociągnięty za jej niezmiernie wdzięczne, dziecinne minki. Gdy wyszedł wreszcie, długo mu dzwonił w uszach jej głos rozpieszczonego dzieciaka, śpiewnie przeciągający, mile swojski, echo z rodzinnych stron i czasów młodości niefrasobliwej...

XIII.

Spacerowy statek „Krakus“ minął most Kierbedzia i wypłynął na szerokie zwierciadło Wisły, różowo-złote od zachodnich łun. Kwadratowa, romańska wieża kościoła Panny Marji wychyliła się ponad gęsto skupione domy Starego Miasta, przykuwając do siebie wzrok, potem zasunęła się w dal. Zazieleniły się nad samą rzeką stoki Cytadeli, słaby powiew wieczorny wionął zapachem wiosennych liści i kwitnących drzew owocowych... wkrótce miasto znikło z przed oczu. Pola okryte runią, młode ogrody, przedziwnie świeże łąki zastąpiły mury. Piersi odetchnęły powietrzem pachnącem, upojnem, płynącym z wolnych, zielonych dali. Na pokładzie muzyka grała *potpourri* z pieśni swojskich. Spacerowiczów nie było dużo, wobec dnia powszedniego, a ci, co znajdowali się na statku, siedzieli przeważnie pod namiotem kawiarni. Zygmunt i Ryśka Lubowiecka weszli na pomost górny, niemal pusty i zasiedli tam na ławce. Szybkie i równe posuwanie się statku, kołysało mile; pieściły miękkie i ciepłe fale wiatru wiosennego, ciężkiego od pyłków kwiatowych i nieźrównanej woni rozwijających się, mło-

dych listków; głąskały, szeptały, niosły obietnice, rozmazały nieokreśloną, rozkoszną nadzieję.

Ryśka siedziała cichutko, skupiona i marząca. W granatowym bereciku i krótkim granatowym kostjumie angielskim, przywodziła znów na myśl... młodziutkiego pazia, rozkochanego i roztęsknionego... pierwszą miłością.

— Nie myślałem nigdy, aby rozśpiewana i roztańczona znajoma mi panienka umiała tak spokojnie siedzieć — przemówił wreszcie Kietlicz, przyglądając się jej z zajęciem.

— Bo dobrze mi — szepnęła śpiewnym swym głosem.

— I uleciała pani daleko stąd... w marzeniu...

— Nie. Pozostałam blisko — odpowiedziała ciepło, z przedziwną miękkością.

— To dziwne, małe licha umie tylko kochać i marzyć, prawda?

Nieświadomie namiętne usteczka zadrżały i wypłynęło z nich ciche i słodkie: Tylko...

— Oj do licha, stary! a trzymajże się! — ostro siebie strofował w duchu rotmistrz Kietlicz.

Zagasły ostatnie zachodnie zorze. Na niebie kłębiły się tylko różowe obłoczki, przechodzące we fiolet coraz ciemniejszy, nasycony ciemno-złotymi tonami. I te szarzały zwolna, traciły blask i wyraźne kolory, roztapiały się w delikatnej, popielatej, przejrzystej mgłę zmierzchu. Kończył się długi, słoneczny dzień wiosenny. Statek, nie

dojeżdżając do Młocin, zawrócił, aby odbyć jeszcze spacer w stronę Wilanowa. Zabłyśły lampy elektryczne, niebo i woda pociemniały, linje wybrzeża zlewały się w niewyraźne kontury. Zawiał wilgotny, chłodny wietrzyk, pachnący morzem. Ryśką wstrząsnął dreszcz.

— O! źle! Dziecko mi się przeziębi, marząc na wilgoci! Romantyczny nastrój skończy się... katarem! Trzeba się otrząsnąć i zejść na dół. Tam rozweseli nas muzyka i jaki alkohol. Pani nie bojkotuje alkoholu?

— Gdzież tam! Lubię pić i staję się wtedy niemożliwa.

— Ano, to doskonale! Bardzom tego ciekaw!

Przy czarnej kawie z likierami i przy dźwiękach tango, zapamiętałe męcących ciszę wieczoru, Ryśka istotnie się przeobraziła. Oczy z piwnych stały się jednolicie złote, sypały iskrami, śmiały się, to znów przekornie kryły się za kratą długich czarnych rzęs. Usta, pełne wymowy nawet w milczeniu, rozchylały się, jak pąk kwiatu, uśmiechem nie tyle radosnym, ile upojenia pełnym. Ruchliwe, ciemne pukle przy żywych poruszeniach, ukrywały chwilami w tajemniczym cieniu, całą drobną twarzyczkę.

Jakieś wewnętrzne płomienie, wytrysłe z głębin jej istoty, migotliwie i niespodzianie, prześwieślały jej delikatną urodę. Mieniła się w oczach, w nastrojach, rozfiłowana i marząca, swawolna i tęskna, słodko uległa i przekornie butna, dziecinna a niepokojąca niezmierną potęgą kobiecego czaru. Pociągała i budziła lęk, narzu-

cała się uwadze z przemożną siłą. W jej obecności nie sposób było przestać o niej myśleć.

Kietlicz, oparty na rękę, popijał czarną kawę, uśmiechnięty i zaciekawiony tym nowym dla niego przejawem odwiecznego problemu kobiecości. Ona, małemi łykami sącząc likier z kieliszka, szczebiotała teraz bez przerwy.

— Wyobrazić sobie za nic nie mogę pana, w ułańskim mundurze, tańczącego w takt tej muzyki! Rotmitrz Kietlicz... i sambo! Nie! W pamięci mam pana na ostatnim balu w Jędrychowcach! Jakby to wczoraj było, tańczył pan mazura z panią Ziutą Olszańską. Wyglądał pan jak burza i porywał tancerkę niby brankę wojenną. Spoglądał pan na nią z triumfem, z jakimś uśmiechem okrutnym i szczęśliwym, który mi się potem śnił nocami, doprawdy! Zęby panu błyskały pod wąsikiem dziko i cudnie... A ja myślałam sobie z mojego kącika, skąd pan mię nie dojrzał nawet...

— Protestuję przeciw temu stanowczo! No i co pani myślała, co?...

— Nie... nie powiem lepiej...

— Proszę... bardzo...

— Myślałam sobie: Ach! szczęśliwa, szczęśliwa Ziu-ta! Raz jeden uczuć się tak w jego mocy i...

— I co? — spytał głosem trochę zdławionym.

— I spłonąć jak ćma w płomieniu... — kończyła szep-tem. Dalsze słowa słodkiego zachwyty drżały, niewymówione, na roztulonych pieszczotliwie ustach.

— Pani mię wyzywa! — wymówił też szeptem, a fala bladeści, przeszła po śniadej twarzy.

— O nie! o nie rotmistrzu! — zawołała, składając błagalnie rączki. — Przecie mówiłam, że się pana boję! Proszę się nie patrzeć tak na mnie!

Powstał, przeciągnął ręką po czole i oparł się o balustradę statku. Przepływali właśnie między Warszawą, a Pragą. Z obu stron wybrzeża, złote światełka dziergały haft świetlany wśród ciemności już zupełnych. Gdzieniedzie, ciemniejsze sylwety wież rysowały się słabo na granatowym widnokregu. Minął ich jakiś statek, wiozący na pokładzie rozśpiewane towarzystwo. Po wodzie płynęło długo echo chóralnej pieśni. Wysoko, nad głowami, subtelne, znane oczom rysunki gwiazdozbiorów znaczyły się trochę zamglonym połyskiem. Na zachodzie, wśród nieco jaśniejszego nieba, świeciła blaskiem różowym gwiazda wieczorna. Szła noc wiosenna, ciepła, pachnąca, pełna utajonego życia i tajemnych dreszczów, bezsenna noc rozkoszy.

Niepokój jakiś, nie pozbawiony uroku, w istocie swej podobny do pierwszych miłosnych wzruszeń, w których lęku było tyleż, ile ponęty, zatargał Kietliczem. Błyskawicą przeleciała po myślach jego świadomość, że wchodzi w niebezpieczną grę, której okup może być groźny. Lecz rotmistrz nie miał w swej naturze zimnej przeczności. Krewka młodość kazała urok chwili wyczerpywać do dna, pochylić się ciekawie nad tajemnicą rozkoszną.

Ryśka wołała, aby wracać na pokład górny „upajać się

nocą majową“. Wrócili więc i stanęli u samego dziobu statku.

Minęli oświetlone, miejskie wybrzeże i płynęli znowu wśród pól ciemnych i łąk, wysyłających fale wonnych, sennych westchnień.

Muzyka na statku nagle umilkła. Wówczas w ciszy, która zapadła, rozległ się miły, świeży, fletowy głos, nabrzmiały tęsknotą bez granic:

Gorzkie łyżę leje dziewczyna
Ta najdroższa, ta jedyna...
Wróć, mój luby, wróć mój miły,
Straszne mary mi się śniły...

Nie posłuchał sokół siny
Tej, najdroższej, tej jedynej,
Hej! poleciał — i nie wróci...
A dziewczyna — wiek się smuci...

Próżne żale, łyżę bez końca...
Co zagasło — nie zaświeci...
Nigdy sokół już do słońca,
Kozak — w stepy nie poleci...

Stare, stare wspomnienia! Rozlewna tęsknota rodzinnych stepów, rozkoszny smutek pierwszego kochania, słodycz rozmarzonego wieczoru nad śniąciami polami, gdzie grają derkacze... Płynęło to wszystko na falach młodego głosu, drżącego kochaniem... I znikła rzeczywistość...

Mów do mnie jeszcze! Za taką rozmową
Tęskniłam lata...

Ma teraz już przed sobą jej oczy świetliste, w zmroku płonące tajemniczo...

Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą...

Usteczka, żywą purpurą gorejąca, zdają się wzywać pocałunków... Głos wibruje pieszczotą...

Ta dziewczyna przyniosła na świat ze sobą, jako dar losu... sztukę kochania...

Piosenki płyną, jak upust wezbranego serca, jedna po drugiej. Tak śpiewają ptaki w porze miłości...

Nagle urywa się to wszystko długą gamą śmiechu, trochę histerycznego, przykrego dla ucha. I Zygmunt z przerażeniem widzi duże łzy, spływające po okrągłych policzkach... Ryśka płacze, ślicznie, bez skrzywienia twarzy, bez ruchu i bez głosu. Łzy płyną, duże, okrągłe, niby krople rosy na aksamicie kwiatowych płatków.

— Mój Boże!... co się stało?...

Opanowywa go oszalamiające przerażenie mężczyzny wobec kobiecych łez. Fenomen to niezrozumiały dla niego. Halszka nie płakała nigdy. Ani Dora.

Dopytuje się troskliwie, czułymi, pieszczotliwymi słowy, jakgdyby mówił do dziecka. Łzy płyną coraz gęściej w odpowiedzi. Wymowne i śliczne usteczka drżą żalośnie, niewymówioną skargą. Wreszcie podnoszą się na niego oczy, pływające we łzach, pełne niezmiernego żalu.

— I dlaczego... dlaczego pan mię męczy... już tyle lat?

Oslupienie rotunistrza jest tak szczere i tak komiczne,

że kąćki rozżalonych ustek zaczynają drgać... od tajnych uśmieszków.

— A bo i pewno... — szepcze głos żaloszny, nabrzmiaily skargą. — Mało to się nacierpiałam, gdy pan maszerował z tej Jelni?... Zrywałam się o świcie, biegłam do naszej kaplicy, leżałam krzyżem przed ołtarzem Matki Boskiej, płakałam, szlochałam... Nie wiedzieli, co ze mną zrobić. A gdy przyszła wiadomość, że pan przedostał się do I-go korpusu, to tak zaczęłam szaleć ze szczęścia, że bali się, czy nie straciłam zmysłów. A po tem... ale niech pan spojrzy na dowód...

Wydostała z kieszonki wewnętrznej zakietu mały pugilaresik ze skóry krokodylej. Z jakiejś skrytki misternej wydobyła wycięty widocznie ze „Świata“ fragment z grupy wojskowej na froncie. Poznał siebie na wytartej i poźółkłej wskutek długiego leżenia fotografii. U dołu, nawpół zatartem, drobnem pismem napisane, widniały słowa: „Moje wszystko“...

— I za to, nigdy nic... ani spojrzenia... ani dobrego słowa... — szlochała już na dobre, gęstemi pukłami ocierając oczy. — Wieczna tęsknota z oddali, oto mój los!...

Zygmunt stał oszołomiony. Nie umiał zdobyć się na żadne słowo. Chciał w pierwszym porywie wyciągnąć ręce do uścisku, lecz pohamował się: uczuł natychmiast, że konsekwencje tego jednego ruchu rozpełtałyby istną burzę i byłyby zbyt wielkiej wagi. Co mógł uczciwie powiedzieć temu rozżalonemu dziewczęciu, niosącemu mu woń własnej jego młodości i echo utraconego domu,

on, związany dziś z inną? Co mógł jej dać wzamian za dziewczęcą tęsknotę i marzenie serdeczne?... Przelotną miłośćkę, któraby dla niej mogła być tragedją?... Oburzało się na to jego prawe, proste serce. Jak zwykle w sytuacjach kłopotliwych wymyślał sobie po cichu od ostatnich słów. Psychologja panieńska była dla niego zagadką, lecz zarówno ujawniona nagle tajemnica długoletniej miłości, jak widok łez dziewczyny wzruszały go głęboko.

— I po tylu lecjach spotykam pana wreszcie, aby utracić na dobre!...

Zancsiła się łkaniem, jak dziecko skrzywdzone. Zaczęto zwracać na nich uwagę.

— Na miłość Boską, panno Rysieńko... dziecino najmiłsza... proszę się uspokoić! Co ja mam zrobić? Proszę powiedzieć, zrobię wszystko!...

Głos jego drżał tak pocziwą troską, tak szczerem, bezradnem zmartwieniem, że Ryśka spojrziała na niego poprzez splątane loki. Był tak zabawny ze swą beznierwie skłopotaną miną winowajcy, że przez łzy zaczęła się śmiać otwarcie.

— Niech się pan tak nie przejmuje. To nic, ja się zaraz uspokoję... Wzięło mię... Ten śliczny wieczór, pachnący Jędrychowcami, ta muzyka, picie... Mówiłam panu, że robię się niemożliwa, gdy piję choć trochę! Proszę mię nigdy nie namawiać na likiery, ani na kawę czarną... Mam nerwy rozklekotane, jak stara histeryczka. Ale ja się zaraz uspokoję, niech się pan nie gniewa, mój złoty...

— Gniewać się?... Ach panno Rysieńko! Proszę mi

tylko powiedzieć, co ja mogę dla pani? Proszę mną dysponować, na wszystko jestem gotów.

— Czy aż tak dalece? — Oczy jej, pływające jeszcze we łzach, błysnęły, figlarne i zalotne. — Nic mi nie potrzeba — dodała smętnym głosem, — tylko pana prawdziwej przyjaźni.

— O! tę pani ma murowaną! Jeszczeby też, panna Rysieńka, stryja mego pupilka, sąsiadeczka moja, którą na rękę nosiłem...

— No, no, proszę nie robić z siebie takiego tatuńcia! Więc mogę liczyć, że pan spełni prośby moje?...

— Ależ wszystkie... Proszę rozkazywać!...

— A więc najpierw: zapomnieć o tem wszystkim, co tu mówiłam...

— O jakież ciężkie żądanie!

— Trzeba, trzeba... I zemną nigdy o tem nie mówić...

— Jeśli taka wyraźna pani wola...

— A taka. Powtóre, proszę mi darować te pare tygodni czasu, które pan ma swobodne... do przyjazdu żony. Proszę mię zabierać czasem na spacer jak dziś, do kina, na koncert do Doliny... Jestem taka sama! tak się nieraz nudzę! Mamcia wiecznie zgryziona, wspomnieniami tylko żyje, u cioci zamęt i pisk dzieci, w „Kresach“ tak różnie bywa... Nie wszyscy są tacy rycerscy i pewni, jak mój pan rotmistrz...

Płomień oburzenia buchnął w sercu Zygmunta. Istotnie, na co mogło być narażone to dziecko, urocze i samotne, w tej pracy, którą sobie wybrało!

— Gdyby kto ośmielił się kiedy... proszę mi tylko powiedzieć! — zawołał porywcz.

— Spokojnie, mój rycerzu, dam sobie radę sama. Nie jednego zdążyłam nauczyć... A zatem... układ staje?...

— Ależ oczywiście. Jestem na rozkazy detyny. Proszę mi dać łapkę do pocałowania. I drugą. Naprawdę, to śmiechu warte, że takie oto łapki lilipucie i to pracują na siebie...

XIV.

Kietlicz otrzymał kartkę tej treści:

„Miałem krwotok. Przewieźli mię do sanatorium w Otwocku. Przyjedź mię odwiedzić.

Jeśman“.

Natychmiast wyjechał pierwszym pociągami, idącym w stronę Otwocka.

W sanatorium wprowadzono go odrazu do pokoju, w którym leżał Jeśman. W progu powitała go bledziutka, lecz odważnie uśmiechnęła panna Anka.

— Pani tu? Jak to dobrze! — zawołał Zygmunt z wylaniem.

— Przyjechałam wczoraj — odpowiedziała, patrząc na niego przejrzystymi oczami, na których dnie czaił się przejmujący smutek.

Widok kolegi wstrząsnął Zygmuntem. Śmierć położyła swe piętno na tej młodej twarzy woskowej barwy, z ustami niemal czarnymi. Chociaż wojna oswoiła go ze śmiercią i z fizycznym cierpieniem i nauczyła filozoficznej rezygnacji, ten chłopak odchodzący posiadał w duszy swej i myślach tak wielkie skarby, któremi nie zdą-

żył się jeszcze podzielić, że dojmujący żal ścisnął serce rotmistrza.

— Skorzystam z pana obecności i pójdę do swego pensjonatu zjeść cokolwiek — powiedziała panna Anka.

— Niech pani idzie i liczy na mnie. Zastąpię ją wedle sił moich. Pozostanę tu aż do ostatniego pociągu. Uwolniłem się dziś na cały dzień. Proszę dysponować, co mam robić.

— Niewiele. Dotrzymać towarzystwa temu niedobremu chłopcu. Pilnować, aby się nie męczył. O godzinach posiłku i lekarstw pamiętać sami w sanatorjum. Doktor przyjdzie jeszcze raz przed wieczorem.

Zygmunt wyszedł za Anką na korytarz. Opuściła ich odrazu robiona swoboda. Spojrzeli sobie w oczy, przeciągle.

— Bardzo jest źle? — spytał Zygmunt bez wstępów.

— Tak — odpowiedziała głosem zdławionym przez łzy. — Marzę jednak o tem, aby go stąd zabrać, jeśli po tym krwotoku ruszać go będzie można, i przewieźć do Zakopanego. Tak wierzę w nasze Zakopane! Tak się tam zawsze dobrze czuł! Ach! ten pobyt w Warszawie... — Fala łkań przerwała jej mowę.

— Powtarzam jeszcze, że jestem zupełnie do pani rozporządzenia... w każdej chwili... Proszę bez skrupułu mną dysponować — zapewniał gorąco, czując dobrze, jaki ostry ból szarpał jej duszę poza troską o zdrowie ukochanego, i szukając napróżno słów pociechy.

— Dziękuję bardzo, bardzo... Dziś wieczór przyje-

dzie jego rodzina z Pomorza, brat z żoną. Oni go bardzo kochają. Wiem, że zrobią wszystko. I co w tem dziwnego? Gdzie taki drugi?...

Uciekła, aby swobodnie wybuchnąć rozpaczą, a Zygmunt, klnąc znowu swą bezradność wobec kobiecych łez, wrócił do Jeśmana.

— A tamta czarownica wyjechała najspokojniej i ani dba o ruiny, jakie tu pozostawiła! — myślał z gniewem.

— I co ty na to? — szepnął Jeśman, wskazując drzwi, któremi wyszła Anka. — Powiem ci jedno: gdy Bóg stworzy dobrą kobietę, naprawdę dobrą i mądrą, to jest szczyt i korona wszelkiego stworzenia.

— W tem masz rację — mruknął Zygmunt.

— Taką udało ci się też dostać, szanujże ją. Ani wiesz, jak bolą wyrzuty sumienia wobec takiej!

— Na szczęście, nie mam powodu do żadnych — odpowiedział rotmistrz, żywiej niżby należało.

— To i dobrze. Słuchaj, kochany, miałem do ciebie żal niesłuszny, wiesz za co?... Dziś dziękuję ci. Jesteś szlachetny i mądry. Ty miałeś rację. Siedziałem po same uszy w brutalnych intrygach i nie wiedziałem o tem. Zadręcza mię myśl, że posądzają mnie może o współudział.

— Więc ty wiesz...

— Tak. Knollowa znalazła całą korespondencję siostry z... nią, z Verą...

— Nie męcz się mówieniem, panna Anka będzie się gniewała, że źle cię pilnuję.

— Nie. Czuję się dużo lepiej; i chcę ci powiedzieć...
że...

— Ja się domyśliłem sam.

— A ja byłem naiwny, jak dziecko, i to mnie tak gnębi! Ankę moją poświęcić dla takiej...

— Nie irytuj się! My, mężczyźni, jesteśmy wiecznie naiwni wobec kobiet, zwłaszcza gdy namiętność się obudzi. Słyszałem tylko, że po jakimś strasznym skandalu panna Łapicka uciekła z domu szwagra razem z jego sekretarzem i że się pobrali.

— A tak, bo i sekretarz był wmieszany w tę całą sprawę i Knoll wypędził ich oboje. Oni się pokryjomu oddawna kochali i wyduszali pieniądze z Knolla wszelkimi sposobami. Och! brudy, powiadam ci! A ja oddychałem tą całą atmosferą i nie rozumiałem nic.

— Boś ty jak dzieciak w tych sprawach i dlatego potknąłeś się o pierwszy kamień...

— Zboczywszy z prostej drogi...

— Ano tak. Lecz nie myśl więcej o tem. Wszystko jest dobrze, co się dobrze kończy. Odnalazłeś swą prawą drogę.

— Gdybym chociaż mógł żyć lata, aby okazać Ance, jak ją wielbię i jak jej wdzięczny jestem. Pomyśl, w chwili najgorszej znalazła się przy mnie, jak anioł stróż, cicha i słodka jak dawniej...

— Rozumiem jaką moc niezmierną daje kobiecie zdolność przebaczenia — powiedział Zygmunt i niewiadomo dlaczego przyszła mu na myśl Halszka. Męczyło

go, że nie uniał znaleźć odpowiedzi na pytanie, jakby ona postąpiła w tym wypadku.

— To też każda myśl moja do niej już tylko należy — powiedział chory z przejęciem.

Chcąc odwrócić myśl jego od wzruszających go zbyt silnie spraw własnych, Zygmunt spytał:

— A o pani Granickiej wiesz?

— Nic.

— Musiała być wmieszana w tę całą sprawę, bo wiem od jednego z mych kolegów, że Tryling wymówił jej miejsce i zerwał z nią. Wstąpiła teraz do szkoły kinematograficznej. I tu naprawdę może zrobić karierę, ze swoją nadzwyczajną powierzchownością. Chciałbym kiedy zobaczyć tego legendowego męża, dla którego wszystko to robi.

— Widziałem go kiedyś u Knollów. Piękny jak bóg grecki, ale taki dla niej brutalny! Odpychający moralnie człowiek! Wszystko to dla mnie niepojęte! Myślę o przeżyciach tegorocznych, jak o koszmarze! Tęsknię do swych przeżyć na Murmanie. Tam było wszystko, silne, proste i czyste: wrażenia, i ludzie i przyroda! A teraz co? Zbrukałem się i marnie spaliłem... na popiół!

— Wyjedziesz z panną Anką do Zakopanego, tam odnajdziesz siebie.

— O! gdybyż sił więcej... — szepnął z bezradną rozpaczą.

Weszła pielęgniarka, niosąc podwieczorek. Zaleciła

bezwzględny odpoczynek choremu. Zygmunt odszedł od niego, usiadł na otwartym oknie i palił papierosa, starannie wypuszczając dym przez okno. Panowała wokół słoneczna cisza popołudniowa: młode pędy sosen i roztopiona w słońcu żywica rozkosznie woniały w nagrzanym powietrzu. Zygmuntovi przypomniiał się sosnowy las na Helu, miłosny gorący okres, przeżyty z Halszką nad morzem i ten pierwszy zgrzyt, którego starali się nie wywoływać więcej, a który istniał przecie zawsze, utajony na dnie zmaconej harmonji ich pożycia.

Kietlicz przeżywał okres rozterki wewnętrznej, co drażniło szalenie jego rozmiłowanie w prostocie i sile ducha. Pierwszy raz w życiu, widział się wplątany w stosunek, nad którym nie panował i którego sam przed sobą nazwać nie potrafił. Brnął coraz dalej i gniewał się zato na siebie. Czuł, że stawia na kartę spokój własnego ogniska i co gorsze, spokój i dobre imię dziewczyny, którą całą duszą pragnąłby osłonić przed wszelkiem złem świata. Zdrowy jego rozsądek buntował się przeciw tej fałszywej i romantycznej przyjaźni z ponętą nad wyraz i rozkochaną dziewczyną, przyjaźni na pozór niewinnej, jak pierwszy flirt studenta z pensjonarką, a tętniącej na dnie gorącą krwią pożądania. Całą siłą trzymał zmysły swe na wodzy; rycerska jego natura oburzała się na myśl wyrządzenia najmniejszej krzywdy istocie, nieopatrznie rzucającej mu pod nogi skarby młodego kochania. Jedynym logicznym krokiem byłoby zerwanie: ale za najłżejszą wzmiankę o tem z oczu Rysieńki wytryskiwały

tak obfite, tak żalodne i bezbronnie lży, że rotmistrz natchmiast kapitulował. Wobec tych łez, czuł się absolutnie bezsilny. Musiał przytem dotrzymać danego niebacznie przyrzeczenia; a że Ryśka przestrzegała pilnie jego spełnienia, naprawdę wszystkie niemal wolne chwile spędzali razem. Zygmunt pocieszał się myślą, że przyjazd Halszki położy koniec temu nienormalnemu położeniu; ale w gruncie, sam dobrze nie wiedział, jaki ma być ten koniec. Nagłe usunięcie się wydawało mu się środkiem za brutalnym. Postanowił wziąć urlop i wyjechać na czas dłuższy z Halszką, lub nawet bez niej, o ile zajmując ją nadewszystko sprawy przykuwać ją będą do Warszawy. Liczył na to, że oddalenie i nieobecność nieznacznie rozerwą niespodziane węzły, w sposób najłagodniejszy. Jednocześnie czuł, że mu szalony brak będzie drażniącego uroku tego stosunku, oplątującego subtelnością, a przecie mocnymi nićmi. Dziwnie słodkiem było przeświadczenie, że dla tej kobiety, uroczej i wolnej, przed którą stał świat otworem, on był właśnie światem. Miłość swoją Ryśka umiała objawiać w sposób niezmiernie powabny: to wybuchała nagle niepoahamowanym żarem słów pieszczących, spojrzeń bezpamiętnie oddanych, to osnuwała się cała czarującą przedzą tajemniczości i wstydlivości dziewiczej. Marzyć umiała do zapamiętania, siedząc cichutko obok Zygmunta i chłonąc w siebie szczęście obecności jego. To znów wpadała w wesołość błyskotliwą, iskrzącą się coraz nowemi, coraz wdzięczniejszemi pomysłami. Zdawało się, że szczęście

na skrzydłach ją unosi, że radość przepelniająca jej duszę, wylewa się za brzegi, jak napój z pucharu. Porywała Zygmunta, który śmiał się wskrzeszonym, dwudziestoletnim śmiechem. Ryśka z cudowną intuicją umiała wynaleźć ładne ramy dla ich spotkań. Zasadniczo unikali ludzi i miejsc tłumnych, zbanalizowanych spacerów. Zygmunt dziwił się, że w przepelnionej, zabudowanej szczelnie Warszawie wynaleźć można zakątki pełne ciszy, słońca i uroku. Chodzili do Frascati, którego zieloność bujna, nieco zaniedbana, bezpretensjonalne, miłe zakątki, stare drzewa przypominały im charakter wiejskich ogrodów, wśród których się wychowali. Przesiadawali w Pomologicznym ogrodzie, wśród szczęśliwej, wonnej ciszy kwitnących owocowych drzew... Spadające białe płatki kwiatowe snuły się w słonecznym powietrzu, ze słodką ociążałością. Ginał szum miasta: brzęczały pszczoły złoty swój hymn upojenia dniem dzisiejszym. Słabe podmuchy niosły jedyną na świecie woń grusz kwitnących, a gałęzie jabłoni, nad miarę obciążone cudnie zaróżowionem kwieciem, tworzyły skomplikowaną sieć na mocnym szafirze nieba. Nie spotykali znajomych: niczyje oczy ciekawe nie śledziły ich, nie szły za nimi dwuznaczne uśmiechy. Ginęli wśród obojętnego otoczenia.

Zygmunt zżywał ramionami w chwilach samotnej rozwagi na ten cały spóźniony romantyzm. Lecz w obecności Ryśki zakłęcie czaru działało natychmiast i zdawało mu się chwilami, że przeżywa pierwszą, praw-

dziwą wiosnę w życiu, że to jakiś dar losu, uiszczającego się z zapomnienia.

Gdy myślał o Halszce, opanowywały go niejasne wyrzuty sumienia, a zarazem nielogiczny, głuchy żal do niej. I czemuż go opuściła dla abstrakcyjnych swych celów? Czemuż ognisko domowe uczyniła mu tak chłodnym, a sprawę ich miłości usuwała na jakiś dalszy plan życia? Były jednak kobiety, i to niepośledniej miary, dla których on zamykał widnokrąg życia, pomimo że nic nie dawał wzamian.

Zygmunt niecierpliwie wypalał jeden papieros po drugim. Nerwy jego rozigrane były do najwyższych granic. Zmęczyła go walka nieustanna ze sobą. I męczyła rozmowa z Jeśmanem, widok jego skruchy i poczucie winy, za którą płacił życiem. W duszy miał jakieś miejsce obolałe przewrażliwione, które drażniło każde nawet przelotne dotknięcie.

Do pokoju wsunęła się cicho Anka. Rozszerzone źrenice pobiegły na jej spotkanie, przywitały się ich oczy, zamieniając spojrzenie tak pełne oddania, że Zygmunt poczuł tępe ukłucie zazdrości.

— Wiesz, Zygmunt — ze słabym uśmiechem przemówił Jeśman — jeśli tylko żyć będę i doczekam się tego szczęścia, że Ankę ujrzę swoją żoną, to ja z nią, a ty z Halszką pokażemy, jakiemi winny być małżeństwa w odrodzonej Polsce.

Kietlicz cisnął przez okno niedopalony papieros, który zakreślił w ciemniejącym powietrzu mały łuk ognisty.

XV.

Dać papierosa, dać!

— Nie, nie dam! Nie do twarzy detynie z papierosem i z zapachem dymu, nie jest to w stylu. Nie znoszę dysharmonji!

— Ależ to pasuje do krótkich pukielków!

— Wcale, a wcale! Pukielki przypominają pazia ze średniowiecza, a nie żadne sprawy z rzeczy... *moderne!* A papieros w twych ustach, to zupełnie pajak na płatku kwiatowym. Przecie wiadomo, że te usta są nadzwyczajne, bajkowe.

— Cóż do nich pasuje?

Przechyliła główkę, patrząc mu w oczy rozróżnionym swym wzrokiem, podczas gdy cudne usteczka rozchyłały się kusząco, na lśniących wilgotnym blaskiem, ząbkach. Rozkoszne i wymowne, w tej chwili przypominały soczysty winny purpurowy owoc, dojrzały i niesłychanie pojętny.

— Pasuje do nich... pocałunek, który pali i miazdzy, a jednak nie uczyni szkody temu arcydziełu — odpowiedział, wpatrując się w nie wzrokiem płonąącym.

Nastał moment ciszy, jakby oczekujący. Serca biły

głośno, nierówno... Kietlicz westchnął, odwrócił oczy i drżącą ręką poniósł do ust papierosa, otaczając się chmurą dymu...

Siedzieli w głębi botanicznego ogrodu, dokąd Ryśka zaciągnęła go, aby „upajać się bzami“. Istotnie kwitły wspaniale, wonią ich słodką i zawrotną, drażniącą wonią tęsknoty, przepojony był świetlisty wieczór, o blasku niegasnącym.

— Niedobry! Sam to wciąż aż ginie w tym dymie, a mnie skosztować nie da swego narkotyku.

— Zginałbym bez niego. Jest moją deską zbawienia.

— A ja? Ja znikąd nie mam zbawienia, a żyję! Będziemy odtąd na równych prawach. Skonfiskuję tę broń...

Sięgnęła wdzięcznym ruchem do kieszonki frenchu, z której wychylała się papierośnica srebrna. Z nią razem wychylił się... list.

— Kobiece pismo... jakie oryginalne! Ach! poznaję! spotykałam się z niem w „Odrodzeniu“ i poznałabym je wszędzie! To od żony. I co pisze?

— Pisze, że przyjeżdża — powiedział Kietlicz z nagłą determinacją, ciskając papierosa.

— Ach tak!... I kiedy?...

— We wtorek.

— A więc, to już... koniec...

Twarzyczka, pełna tkliwych uśmiechów i słodkich blasków, ścięła się jakby od wewnętrznego mrozu, pobladła. Oczy stały się czarne i spoglądały przed siebie

nieruchomo. Ruchliwe usta zwarły się w linję sztywną, figlarne kąciki opadły w dół z wyrazem niewysłowionej goryczy. Była to teraz maska kobiety dojrzałej, cierpiącej głęboko. Przeobrażenie tak nagłe, że aż tragiczne. Nie zwracała się do Kietlicza. W milczeniu wpatrywała się w jakieś widmo, które nagle stanęło przed nią.

A nim, na widok tego skamieniałego bólu, zatargał żal nie do zniesienia. Zerwała się w nim burza buntu i protestu. W imię czego ma cierpieć to dziecko, urocze i słodkie, bez pamiętnie mu oddane? Dlaczego ma być koniec temu, co wplotło się w jego istnienie żywymi, drgającymi fibrami? W imię jakiej katońskiej i bezdusznej cnoty ma tratować kwiat cudny, wyrosły na swej drodze, niespodziany dar losu? Halszka? Czy ona istotnie dba o niego, niezachwianie idąc swą drogą, odrzucając dumnie wszelkie ustępstwa i kompromisy, ogarniając poza nim całe widnokregi? Przecie dla tem większej spójni z Halszką poświęcił okrutnie bezcenną wprost miłość Dory; czy po raz drugi ma niemiłosiernie deptać rwące się ku niemu serce kobiece? Wszystkie te pytania dręczyły go od chwili otrzymania listu żony i nie dały mu zasnąć noc całą. Rozigrały się w nim wszystkie nerwy żalem i pragnieniem: wobec widma rozstania poczuł jak droga mu się stała ta dziewczyna, kwiat z rodzinnych jego stron, wcielenie kobiecej ponęty.

Ona widocznie przełamała się w sobie i opanowała. Zwróciła ku Zygmunutowi twarz nieoświetloną uś-

miechem i przez to odrazu starszą, skupioną w sobie. Ze słodką rezygnacją powiedziała:

— Przeżyłam piękny sen, pora się zbudzić. To trudno! tak już być musi. Com wzięła to moje: to skarb dla wspomnień. I co ja znacę w pana życiu? Taka ze mnie nikła kruszyna, która potrafi jedno... kochać!...

— Ach! jakże to dużo, panno Rysieńko! Dużo więcej niż pani sobie wyobrazić może! W oczach mężczyzny... to niemal wszystko!

— Pan tylko tak mówi, a w życiu pana były zawsze kobiety nadzwyczajne. Ja dobrze wiem, ja wszystko wiem... o panu. Z oddali śledziłam loty mego sokoła, ja przyziemna roślina. I będzie tak zawsze. Ale przestaniemy się widywać. Ja nie chcę... ukradkiem. To upokarzające. Porzucę nawet Kresy, aby i tam się nie spotykać. Znowu wrócę do maminych starożytności, gdzie pan już napewno nie przyjdzie. I tak się wszystko zerwie. Duchem będę tylko do pana przychodzić, zawsze, zawsze...

I zaczęła mówić półgłosem, jakby do siebie:

W noc pochmurną, w noc jesienną,
Kiedy siedzisz nad księgami,
Myśl ma wchodzi po cichutku,
Zamkniętymi wchodzi drzwiami

I całuje twoje czoło
I twe oczy szafirowe
I z twym sercem wnet kryjomo
Słodką wiedzie już rozmowę

Pyta serce, czy pamięta
 Upłynione jasne chwile,
 Te niedawne dni wiosniane
 Czyże, barwne jak motyle?

Ty z nad księgi wznosisz głowę,
 Ty się dziwisz, skąd wspomnienia...
 Skąd ci mącą nastrój pracy
 Niewyraźne sny, marzenia?...

A to myśl ma pocichutku
 Zamkniętymi wchodzi drzwiami
 W noc jesienną, w noc pochmurną,
 Kiedy siedzisz nad książkami...

— Panno Rysieńko, czy pani postanowiła mię dzisiaj do szaleństwa doprowadzić?...

— Nie, o nie! Ja chcę tylko być w pana życiu słodkim wspomnieniem, taką smugą wonną, o której się potem marzy, zamknąwszy oczy... Ale przed rozstaniem ja mam jeszcze jedno pragnienie, ostatnie... Nato, żeby myśl moja mogła trafić do pana... później, trzeba, aby nie błędziła... Muszę poznać tło, na którym pana będę szukać, muszę poznać pana otoczenie...

— Ależ panno Rysieńko, ja nie mogę narażać panią na to, jeszcze ktoś panią spotka...

— Nie spotka mię nikt. Pan pójdzie pierwszy, a potem ja przyjdę. Zajrzę na chwilkę i odejdę z tym obrazem w pamięci...

Przez głowę Zygmunta przemknęła myśl, niepozba-wiona goryczy, że mieszka przecie jak kawaler, więc

Halszka nie może mieć pretensji za wizytę kobiecą...

— Panno Ryśko, z pani szalenie odważna dziewczyna!

— Pana się mam bać?...

— Ja potrafię być czasem straszny... i jak jeszcze?

— Czy kobiety to panu mówiły?

— Właśnie kobiety...

— Ja się już nie boję, panie Zygmo, nic a nic...

Skladała rączki, zaglądając mu w oczy. Rozkosznie wyglądała z figlarnością dziecinną, przysłoniętą smutkiem szczerym. Zygmunt żuł w ustach papierosy i niezapalane odrzucał niecierpliwie.

W oczach dziewczyny zbierały się już łzy. Żałośnie drgały kąciki ust.

— Panie Zygmo, bo jak rozplączę się tu w ogrodzie, to pan będzie miał kram cały!...

— Oj nie! oj nie! tylko nie to! błagam, panno Ryśko!

— A więc, proszę mi się nie sprzeciwiać, na ostatni raz...

— Niech więc się dzieje wola pani!

— O! jaki kochany!...

Pogładziła go pò rękę. Wstał ruchem prawie szorstkim.

— Idźmy zatem. Już i tak zaraz ogród zamkną.

Doszli razem do Nowowiejskiej, gdzie mieszkali Kietliczowie. Zygmunt poszedł naprzód i czekał w przedpokoju na dzwonek. Ryśka weszła z oczami rozbłysłymi,

idąc cichutko jak kotka. Wyglądała na dzieciaka, bawiącego się ukartowanym figlem. Przedostawszy się do pokoju Zygmunta, wybuchnęła śmiechem radosnym.

— Widzi pan, jak dobrze! Nie spotkałam nikogo i straszne „schocking“, jakie popełniam, pozostanie tajemnicą. I oto poraz pierwszy w życiu jestem z wizytą u pana...

Rozejrzała się dokoła.

— Jaki tu porządek... iście wojskowy! Nie znać tu wcale kobiecej ręki!

— Wszystko kobiece jest w tamtym pokoju, gdzie mieszka moja żona.

— Ach tak...

Ryśka wzięła, stojącą na biurku, fotografię Halszki i długo się w nią wpatrywała bez słowa. Przeszła zwolna po pokoju, zatrzymując się przed każdym sprzętem w jakiejś skupionej zadumie.

Przejrzała książki na półce, obejrzała grupy fotograficzne i zdjęcia wojskowe, porozwieszane na ścianach. Stała długo przed lustrzaną szafą.

— Chciałabym tu zostawić odbicie swoje... na zawieszę! — szepnęła z jakimś rozdzierającym uśmiechem. — Wyłaniać się stąd, jak cień zaświatowy, aby przypomnieć... czasem, że istnieje!...

Stała długo przed połowem łóżkiem, po żołniersku prostem.

— Gdybym mogła zmienić się w pajęczka — marzyła głośno, — mieć swoje gniazdko pod sufitem

i spuszczać się po nitce, gdy pan śpi... Zawisnąć nad panem, i pozostać tak... Musiałby pan często, o, często śnić o mnie...

Zygmunt śledził jej ruchy miękkie, pełne życia i zarazem omdłałości, w dziwnem oszołomieniu. Mąciły mu się myśli, wszystkie tętna pulsowały.. Nie umiał zdobyć się na jedno słowo.

Na stoliku stała przygotowana maszynka z gorącą wodą, cukier, cytryna i karafka z koniakiem do przyrządzenia herbaty, tak jak rotmistrz lubił.

Ryśka zbliżyła się do stolika.

— O doskonale! — zawołała ze zwykłą sobie, oszalamiającą zmiennością nastrojów. — Budzi się we mnie na ten widok... kelnerka! Przyrządź panu taki grog, jakiego pan jeszcze nie pił.

Nalała do szklanki gorącej wody, wlała sporo koniaku, dodała cukru, cytryny i wypila spory haust.

— Bajeczny! Niech pan przyniesie drugą szklankę dla siebie, wypijemy toast pożegnalny.

— Nie chcę chodzić do kuchni po szklanki, nie chcę zwracać uwagi służby.

— Będziemy zatem pili z tej jednej... naprzemian! Ja i tak myślę głośno, nic nie ukrywam.

Wypila łyk i podała napój Zygmuntowi. Wstrząsnęła wyzywająco puklami: rozgorzały jej oczy, a nabiegłe gorącą purpurą wargi drżały niewymówionemi, płomieniami słowy.

Zygmunt porywco wychylił szklankę; miał wrażenie,

że łyka ogień. W głowie poczuł szum, myśli jego porwała zawierucha.

Ona spoglądała, gdy pił, cała dysząca jak po biegu. Gdy skończył, skoczyła nagle ku niemu i klasnęła w ręce.

— To był lubczyk! To napój Tristana i Izoldy. Już nas teraz nic nie rozłączy! Stało się! Stało się!...

Zygmunt wyciągnął ku niej drżące ramiona, w potężnym porywie. Świat cały znikł mu z oczu. Zdawało mu się, że nigdy w życiu nie pragnął tak namiętnie żadnej kobiety, jak tej oto dziewczyny. Zmysły jego, tak długo trzymane na wodzy, buchnęły wielkim płomieniem.

Ona spoglądała na niego urzeczona. W oczach jej zapalał się zachwyty. Złożyła ręce w radosnej ekstazie.

— Uśmiech... uśmiech..., o którym śniłam lata! Dziki i cudny! Ten sam!... Dla mnie!

W bezpamiętnem uniesieniu szczęścia zarzuciła mu na szyję obie ręce i przytuliła się całym swoim gibkim, płomiennem ciałem... z oddaniem bez granic...

XVI.

Halszka Kietliczowa bawiła w Wołkowysku. Po rozejrzeniu się w stosunkach, po konferencji z instytucjami pokrewnymi w Grodnie, uznała, że placówką, najsilniej domagającą się rozumnej i celowej pracy, był właśnie Wołkowysk i jego okolice. Istotnie stan rzeczy, jaki tam zastała, obudził całą energję jej dzielnej natury. Ocknął się w niej zapał żołnierza na zagrożonym zewsząd posterunku.

Tamtejsze okolice, zresztą malownicze, faliste i leśniste, przedstawiały dokładny obraz spustoszenia wojennego, wedle słów znanej piosenki:

Popalone miasta, popalone sioła,
A w polu niewiasta zawodzi dokoła...

Uchodzące przed Niemcami, wojska moskiewskie pozostawiły pamiątkę w swoim stylu w nieszczęsnej krainie.

Bogate, nierzadko wspaniałe dwory i rezydencje, obrócone literalnie w gruzy, wioski spalone, ziemie od lat całych nietknięte pługiem, porośły krzewami, brzoźkami, młodym, czasem sporym, laskiem. Wśród rozpaczliwej

puszki, po której zdawała się przechadzać, załamując ręce i zawodząc, ludzka krzywda, gdziekolwiek mogiły... nieznanymi żołnierzami. Bliźniaczo podobne, bezimienne, opatrzone małym krzyżykiem drewnianym, ciche i zapomniane, tworzyły czasem tragiczne skupienia, wskazujące na jakieś przeraźliwe w grozie swej morderczej walki, to znów czerniały zagubione wśród samotnych dróg i pól milczących, niby melancholijne groby samobójców.

Na tem olbrzymim poboju budziło się niezmożone, przepiękne, wszechwładne... życie. Zaludniały się zagłuszcza dworów. Powracali właściciele, uparcie i wytrwale wskrzeszając martwość swych odwiecznych gniazd, mieszcząc się pod ocalałym dachem jakiegoś mleczarni, stajni, pralni... Powracali z głębin Rosji, a nawet Sybiru, Uralu, Kaukazu, wygnani przez kozaków, chłopcy. Wrócili olbrzymimi gromadami, wygłodzeni pożytem w bolszewickim rajach, z rozpaczą w duszach, a ja dem anarchji, zaszczerpienym w ciemne mózgi. Na porcelizkach swych chat budowali lepianki gliniane, wydzielali z męką dzikie krzewy ze swych pól, przymierali dalej głodem i szemrali... szemrali na dołę twardą, na nieznanym jej sprawców... A na tem dantejskim tle, szalała agitacja rozpasana, która szuka żeru dla siebie... w klęsce ludzkiej.

Halszka w tem morzu niedoli i potrzeb, łamała sobie głowę, gdzie naprzód śpieszyć z cegielką pomocną. Po długiej naradzie z instytucjami miejscowymi, po zniesieniu się z warszawskim kołem „Odrodzenia“, postanowio-

no otworzyć na razie ochronkę dla głodnych i nagich dzieci repatrjantów, oraz sklep z najniezbędniejszymi artykułami, aby uchronić ludność przed wyzyskiem miejscowych żydowskich handlarzy.

Przygotowawcze prace, w niezwykle ciężkich prowadzone warunkach, pochłaniały cały czas i wszystkie myśli Halszki. Zatelegrafowała do Warszawy, aby jej wysłano pomocnice, a wobec piętrzących się coraz nowych trudności, nie umiała określić czasu swego pobytu na kresach. Praca organizacyjna, nawet na takim pustkowiu, nie wyczerpywała jej młodych sił: męczyła ją tylko dorywczosć urzędników, brud i ciasnota brzydkiego pokoju w żydowskim, bardzo pierwotnym zajeździe... i tęsknota za mężem. Co wieczór, po załatwieniu rozlicznych, drobiazgowych, często nudnych spraw, które się wszystkie o nią opierały, wybiegała myślą ku Zygmunтови. Była to chwila jej odpoczynku, godzinka czasu, osobistym poświęcona sprawom, jasny płomyk szczęsnego egoizmu. Wydobywała z podróźnej teczki fotografie Zygmunta i wpatrując się w nią, myślała:

— Jak dobrze, że go mam na tym szerokim świecie. Jego jednego!

Przychodziła na nią obezwładniająca tęsknota, zarówno fizyczna jak i uczuciowa, nieznaną jej dawniej w życiu, dokładnie wypełnioną ideową pochłaniającą pracą i ulubionymi ponad wszystko sportowemi rozrywkami.

To nowe uczucie było jej miłe, lecz nie mąciło w ni-

czem pogody ducha. Halszka o małżeństwie swem myślała zawsze z głębokim, zadowolonym spokojem. Uważała, że to sprawa załatwiona pomyślnie i raz na zawsze, którą kłopotać się już nie trzeba, ani zużywać na nią energii. Pożycie jej z Zygmuntem wydawało się jej równą, prostą drogą, idącą gdzieś w bezkresy, aż ku starości i śmierci, które to obie rzeczy wydawały się jej bardzo odległe, niemal nieprawdopodobne. Prawa jej i prosta dusza, której obce były zarówno komplikacje sentymentalne, jak wstrząśnienia namiętności, nie przewidywała żadnych załamań ani odchyłań w przyszłości. Widziała jedno: obowiązki jej spełnione nie będą w pełni, aż dopóki nie da mężowi upragnionego dziecka. To mu winna. Lecz wypełnienie tej powinności odkładała do „lepszyc czasów“, nie formułując jasno w myśli, kiedy i w jaki sposób nadejdą owe lepsze czasy. Tak uporządkowawszy w duszy sprawy, tyjące się jej małżeńskiego życia, nienawykła z natury ani z upodobań do psychologicznych rozważań, które uważała za bezużyteczne i jałowe, całą duszę wkładała w bieżące sprawy, nasuwane przez bieg zdarzeń!

Od Zygmunta otrzymywała listy krótkie i rzadkie, ale nie przejmowała się tem bardzo. Wiedziała, że mężczyźni naogół, a mąż jej w szczególności, nie lubią się bawić w epistolarne sentymta. Sama posyłała listy krótkie, chociaż często rzeczowe, pełne prostoty, ze szczegółami jeno o swej pracy i życiu w Wołkowysku.

Zarówno ochrona, jak i sklep „Odrodzenia“ wyłaniały

się już z chaosu i poczynaly przybierać konkretne kształty. Załatwiona została, przy pomocy ludzi dobrej woli, trudna sprawa lokali i urzędzenia najprostszego. Sklep już miał towary, a do ochrony napływały dzieci brudne, obdarte i wygłodniałe, słabo rozumiejące po polsku, ogłupiałe długą wędrówką i nędzą. Halszka już poczynala myśleć o powrocie i o jakiejś wspólnej wycieczce z Zygmuntem na odpoczynek. Maj, nad podziw w tym roku słoneczny, rozkwiecony, rozśpiewany, uroczy i uśmiechnięty nawet w brzydkim, wszelkiego charakteru pozbawionym, Wołkowysku, przywoził jej na pamięć zeszlóroczny pobyt jej na Helu. Całą duszą uśmiechała się do tych wspomnień, cieszyła myślą, że wskrzesną, byleby chcieli oboje, a dla czegóżby nie mieli chcieć?... Dąsania się Zygmunta na pochłaniającą ją społeczność nie brała zbyt do serca, uznawszy raz bezpodstawność tego kaprysu, jak go nazwała w myśli.

Wśród tego wszystkiego, Halszka otrzymała z Warszawy anonim, pierwszy w życiu. Pisany na maszynie, poprawną francuzszczyzną, donosił jej w sposób dyskretny... i zjadliwy, że podczas gdy ona pracuje dla kresów, mąż jej, widocznie aby nie przerwać łącznika duchowego, czas swój i siły poświęca także jednej ze znanych instytucyj kresowych w stolicy, a zwłaszcza jej nadobnym przedstawicielkom. Przekonać się można było o tem codziennie; tu następował adres znanej restauracji, prowadzonej przez panie z kresów.

Aczkolwiek nieobznajmiona ze strategją kobiecych na-

miętności zawiedzionych, Halszka odgadła odrazu, że list ten pisze kobieta, pragnąca pomścić na Zygmuncie jakiś miłosny zawód.

Wiedziała, nie badając nigdy szczegółów, że miał przeszłość dość w miłosne przygody bogatą. Narazie więc uśmiechnęła się i wzdurliwie odrzuciła list. Ale pozostał w jej myślach, zaszczerpiony zęcnie, jad niepokoju. Przypominała sobie coraz bardziej rzadkie i przymusu pełne listy Zygmunta. I potem znowu przyplw młodej, serdecznej wiary. Czyż możliwe, aby zamyslał o zdradzie, zaledwie po roku pożycia, wówczas gdy wybrał ją, idąc za samorzutnym porywem, wśród tylu innych?

Mało świadoma dróg, jakimi chadza namiętność, nie pojmująca psychologii męskiej, Halszka, całym instynktem duszy prawej, brzydziła się zdradą, za którą zwykło chodzić kłamstwo. Samo zastosowanie tego pojęcia do postaci jej męża, wybranego człowieka, uosobienia męskiej szlachetności, wydawało się jej poniżeniem. Zbuntowała się: zdjęła ją odraza do autorki listu. Strząsnęła z siebie te myśli, jak natrętnie owady. Zabrała się odważnie do codziennej pracy.

Udała się do sklepu. Nadeszły właśnie transporty towarów z Warszawy. Halszka wzięła się energicznie do ich porządkowania, układania, sortowania, aż do fizycznego silnego zmęczenia. Stamtąd udała się do ochrony. Trafiła na chwilę rozdawania posiłku południowego, złożonego z kartoflanki i chleba. Posiedziała wśród dzie-

ci, przeważnie odrażająco zdziczałych, omówiła z ochroniarką projekt wybrania roztropniejszych i starszych do pomocy w usłudze, wysłuchała zawodzących skarg kilku matek, które przyszły zapisać swe dzieci. Usiłowała, jak zwykle, całą duszę włożyć w te sprawy... i nie mogła. Naraz, nie wiedzieć skąd, napłynęła fala niepokoju, zatargała jej duszę, zmąciła do dna, jak nagle zrodzony powiew wiatru przed burzą do dna wzrusza jasne wody, lśniące w słońcu.

Zerwała się i poszła przed siebie.

Idąc swym wygimnastykowanym i sprężystym krokiem, minęła prędko bezbarwne, nudą senną ziejące ulice miasta i znalazła się w szczerym polu, wśród łąnu zbóż. Młoda zieloność zasiewów świeciła jaskrawo w południowym słońcu, tylko żyta wysokie, proste, już wykłoszone, rzucały łagodny, srebrnawy ton wśród nieprzejrzanego morza zieleni. Niezliczone skowronki wypełniały całą olbrzymią, wolną przestrzeń dzwonieniem niezrównanej radości, słonecznym wołaniem o szczęściu istnienia. Od pobliskich olbrzymich lasów szły wonie ściętych młodych brzoź, więdnących w upale, wonną śmiercią zamierających. Nęciły tam tajemnicze cienie, taką świeżością tchnące, jak porankowe rozkwitanie życia.

Radość otoczenia nie przeniknęła Halszki. Wodziła wzrokiem dokoła i czuła się dziwnie obcą i samotną. Inne były jej rodzinne strony, chłodny kraj jezior uśpionych.

— Co ja tu robię? Skąd się tu wzięłam? — dumiała

podświadomym nurtem myśli, zagubiona tu, sama, daleka...

Doszła wkrótce aż do plantu kolei. Przy samym nasypie ciągnął się rząd mogił żołnierskich.

Świadczyły o piekielnej zawierusze, która przewaliła się przez pola, dziś cicho śniące w słońcu. Systematyczne niemieckie ręce poustawiały całkiem jednakie krzyżyki i ogrodzenia; jakieś wielkie zbratanie w śmierci objęło tych nieznanych ludzi, z których każdy był odrębnym światem za życia. Po drugiej stronie plantu wznosiła się samotna, okazała mogiła generała niemieckiego, tragicznym wyrokiem losu śpiącego na wieki wśród obcych, białoruskich rozłogów.

Halszka usiadła na stoku wału kolejowego. Ziemia drżała głucho, dźwięczały szyny, błyszczące w słońcu oślepiającymi linjami, które ciągnęły za sobą oczy magicznym czarem. Z łoskotem i dudnieniem zbliżał się pociąg, wywinął nagle z poza zakrętu, mignął błyskami szyb, ogłuszył tętnem migających szybko kół i pomknął w dal; rzucając w kryształowe powietrze burą kité cuchnącego dymu.

Pociąg do Warszawy! W ślad za nim porwała się nieprzeparata tęsknota, żywiołowa chęć, aby pędzić z nim razem, aby znaleźć się tam, aby na własne oczy ujrzeć, sprawdzić, zmierzyć się z istotnym stanem rzeczy...

Móźdz tam być za określoną ilość godzin... co za pokusa!

Tegoż dnia Halszka napisała list do męża, oznacza-

jący dzień powrotu i poraz pierwszy w życiu, nie dokończywszy całkowicie przyjętego zadania, opuściła kresy...

Gdy ujrzała na dworcu, w tłumie oczekujących, wyniosłą postać Zygmunta i jego męską, orlą głowę, serce jej napełniło dumne uczucie radości. To był jej mąż, oddany jej człowiek, który tu przybył dla niej... W pierwszych chwilach zamieszania po przyjeździe, nie miała czasu na obserwacje, lecz gdy przebrana i wykąpana, zasiadła do śniadania naprzeciwko niego, serce jej wnet ścisnęła trwoga bez nazwy, bez dna, nieznana dotąd. Załopotały nad nią czarne skrzydła przeczucia straszego. Miała wrażenie, że między nimi zapadła cienka lodowa tafla, niewidzialna i bezlitośnie dzieląca. Nie było na nią rady, pomimo jej subtelności niemal nieuchwytniej.

Zygmunt był wymizerowany, jak po przebyciu ciężkiej choroby, milczący, zamknięty w sobie. Gryzł nerwowo papierosa w ustach, ze wzrokiem, utkwionym gdzieś poza nią. Czarne, szerokie brwi zbiegały mu się nad oczami w faldę twardą, niemal groźną. Oczy, zwykle pełne życia i uśmiechów, spoglądały pośępnie. Jakieś silnie rozbudzone życie wewnętrzne wzięło go całego w posiadanie. Halszka wyczuwała załękłem sercem, jak jej opowieści o rzeczach widzianych na kresach, o przedsięwziętych pracach, opadały ciężko, nieodczone, może niesłyszane. Wiedziała już z całą pewnością, bez żadnego pytania, że się coś stało. Po drzeniu duszy strwożo-

nej czuła, że coś ważnego, nieodwołalnego może. Poraz pierwszy w życiu poznała lęk. Bała się mrocznej tajemnicy, zaczajonej w oczach kochanego człowieka.

Oboje byli zbyt szczerzy i zbyt prawi, aby nie odnaleźć drogi najprostszej i trwać długo w oszukańczym spokoju.

Powiedziała bez żadnych wstępów:

— Otrzymałam anonim. Przeczytaj!

Widziała wyraźnie, jak zbieła mu śniada twarz, gdy brał list z jej ręki, i jak boleśnie skurczyły mu się wargi.

Przeczytał uważnie i powiedział równie prosto i stanowczo:

— Wiem od kogo ten list pochodzi. Pisała go kobieta, która ma do mnie nieuzasadniony żal. Pisała go w intencji złośliwej, ale w treści jego jest prawda. Była dobrze poinformowana.

I poraz pierwszy spojrział w oczy żony przeciągle, ze smutną powagą. Wyjście z sytuacji kłamliwej, tak przeciwnej jego naturze, powróciło mu odrazu równowagę. Uczuł niemal wdzięczność dla Mniszewskiej, której sztuczny i zawiły styl poznał odrazu.

Nastała chwila ciszy, jedna z tych chwil o trwaniu nigdy nieokreślonym, bez miary w czasie, a podczas których ważą się przeznaczenia ludzkie nad nieodgadnionymi głębiami.

Zygmunt mówił dalej, z okrutną i zarazem bolesną szczerością, której pilno jest do zupełnej prawdy:

— Myli się także zasadniczo w jednym autorka anonimu. To, co przedstawia jako flirt zdrożny, jest naprawdę rzeczą wielkiej wagi, angażującą całe życie. Listem tym ułatwiła mi wyznanie. To i lepiej.

Odetchnął ciężko i znów spojrzął na żonę. Pod otrzymanym ciosem, który zmienił trwożne przecucia w przeraźliwą pewność, ugięła się jej jasna głowa. Długorzęse powieki bić poczęły ruchem strwożonym i bezradnym nad boleśnie pytającymi oczami. Nie rozumiała. Walily się pod jej stopami podstawy odwiecznie pewne, na których zbudowała swe życie. Oszołomienie było tak wielkie, że wykluczało narazie cierpienie.

Zygmunt uczył dojmujące ostrze żalu, niby przenikliwy ból fizyczny. Lecz nic go nigdy zwrócić nie zdołało z drogi raz obranej. Mówił dalej tak blady, że jego posępne oczy wydawały się dwiema czarnymi otchłaniami pod groźnym łukiem kruczyczych brwi.

— Wierz mi, że wolałbym stokroć iść na niebezpieczeństwo najgroźniejsze, niż być zmuszonym mówić ci to, co mam do powiedzenia. Ale obłudne milczenie jest rzeczą nie do pomyślenia pomiędzy mną a tobą. To zbyt przeciwne naturom naszym. Chcę, byś wszystko wiedziała. Masz do tego prawo. Taka rozmowa to rozdarcie boleśniejsze od rany. Ale musimy ją doprowadzić do końca.

— Pokochałeś tamtą kobietę? — spytała Halszka cicho, jakby samym dźwiękiem słów przerażona.

— Tak — odpowiedział bez wahania, — a ona mi tak

absolutnie rzuciła pod nogi całą przyszłość, całe życie, wszystko, co stanowiło jej egzystencję dotychczasową, że byłbym lotrem, gdybym dziś odszedł od niej: ja bym zgubił, a dla samego siebie nazawsze stracił szacunek.

— Tak cię kocha? — pytała dalej tym samym lęklwym głosem.

— Jestem osiłą jej życia... Byłem oddawna, nie wiedząc o tem. To taki typ kobiety, która zatracą siebie w człowieku kochanym. Raz w życiu zdeptałem już miłość podobną. Mam wieczny wyrzut...

Wówczas wybuchnęła nagle ogromną skargą, krzykiem buntu:

— A ja? A ja? Cóż ty ze mną w tem wszystkim zrobisz?

Spojrzał na nią przeciągle, zaskoczony żywiołowością jej wybuchu.

— Ty masz tyle w życiu innych rzeczy, które cię zajmują... Miałem zawsze wrażenie, że jestem ci zbędny...

Tyle innych rzeczy! Jakże w tej chwili wydawały jej się niczem! chłodnym cieniem bez krwi i życia, pustym dźwiękiem słów... wśród zawieruchy, która porwała w wir straszliwy jej myśli, jej uczucia, jej wiarę w szczęście i miłość... Oto odchodził od niej za nowem szczęściem i aby uciszyć żal nad nią, nurtujący mu w duszy, rzucił na pociechę... sobie, czy może jej?... „Ty masz tyle innych rzeczy“...

Spojrzała na niego rozpacznie. Wydał jej się już nie za szybą, lecz na innym jakimś brzegu, daleki, owładnięty cudzą mocą, niepojętem zaczarowaniem... Na nic się zdało wyciągać ręce z wołaniem duszy dalej... Czuła to aż nadto. Z ust jej wybiegło przecie pytanie drżące i ciche, błagające niemal o zaprzeczenie:

— Czy źle ci było ze mną?...

Odpowiedział równie cicho, ale stanowczo:

— Było mi z tobą... zimno...

Przyjęła te słowa, jak cios ostatecznie miażdżący. Bunt jej duszy złamał się i legł bezsilnie. W głowie, skołataną zbyt silnymi i nagłymi wrażeniami i nocą bezseną, przemęczoną w wagonie, snuły się strzępy obrazów bez związku, nieskierowane jasną myślą. Słyszała słowa męża, dolatujące jakby z głębi odległej, jakby jakieś obce...

— Mielśmy różne pojęcia o małżeństwie, o życiu wspólnem... A może ja poprostu nie dorosłem do twoich... Może być także, żeś ty się do moich nagiąć nie chciała, czy nie mogła... Gdy sobie wrócimy nawzajem swobodę, spotkasz z pewnością człowieka, który będzie myślał, jak ty, który oceni w pełni to wszystko, co naprawdę jest w tobie niezwykle. Co do mnie, to spotkałem swój typ niewątpliwie...

Buchnął w niej znowu protest uczciwej i nieskomplikowanej duszy...

— Ależ przysięgliśmy sobie na całe życie... Z własnego wyboru... z własnej woli...

Zwiesił głowę, zdjęty nagle, bezmiernem przygnębieniem:

— To prawda, to prawda... I prawdą jest również, że to pierwsze zobowiązanie, jakie łamię w życiu... Nie umiem ci wypowiedzieć, jak mię ta myśl zadręcza... Ale co począć? Co począć?... Życie się tak płacze nawet takie, które wydawało się proste i jasne... My przecież w kłamstwie żyć nie możemy... Uduślibyśmy się oboje. Nieprawdaż?

Spoglądał na nią błagalnie, szukając potwierdzenia. Z błyskiem zwykłej swej energii, odpowiedziała dumnie.

— Prawda. Co zamyślasz czynić?...

Odpowiedział natychmiast.

— Rozwiązać ciebie i siebie. Każdemu z osobna życie się może uśmiechnąć. Obmyśliłem wszystko...

— Już? — spytała gorzko.

— Tak. Wiesz, że nawykłem do działania niezwłocznego, chodzi tylko o twoją zgodę...

— Sądzę, że po tem wszystkim, co usłyszałam, będzie to już tylko forma...

— Aby ułatwić wyjście z ciężkiej sytuacji, opuścę Warszawę. Porobiłem już starania, aby mię wysłano do Francji dla obznajomienia się z kierownictwem samolotów wojennych. Zawsze miałem do tego pociąg. Zrobię wszelkie starania, abyś mieszkanie to zatrzymać mogła. Napiszę do stryja Konstantego, by w każdej chwili i na wszelki sposób służył ci radą, opieką, po-

mocą. Wiem, że to zrobi i że można na niego liczyć. Sprawę rozwodową oddam w ręce przyjaciela mego, Jasiulewicza. Nie będzie trudna do przeprowadzenia. Wszystkie winy wezmę na siebie...

— Widzę, żeś już wszystko istotnie przemyślał dokładnie. To dla mnie. A ona... tamta?... — spytała waha jąco i cicho.

— Ona... koniecznie chce jechać ze mną. Stara się o posadę na wyjazd...

Zapadła cisza długa, ciężka; słychać było niemal, jak snuły się ich myśli oddzielnymi nurtami...

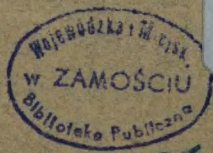
Rwały się boleśnie ogniwa, wiążące dwa życia. Odchodzili od siebie w przyszłość zamgloną, która Halszce wydawała się pustynią. Krzyk buntu raz jeszcze wyrwał się z najtajniejszych głębin jej serca:

— Mielśmy wszystko!... Nieśliśmy sobie tyle darów nawzajem... Kto winien temu, co się stało?... Kto winien?...

Ruchem bezmiernego zgnębienia, opierając na rękę znużoną twarz, Zygmunt Kietlicz odpowiedział głucho:

— Ja nie wiem!...

K O



84 895

Księgozbiór BP



10080049

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna